1. Grudnia. **Nr. 47.** 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)
Cena:
kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . . . 4 „ 60 „
Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

— Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „**Nowin**" we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera.**
Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.
Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej."

LUDZIE DOBRYCH CHĘCI.

Przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

(Dokończenie).

Właścicielem domu był jakiś stary kawaler. Pan Boromeusz przedstawił mu się jako były urzędnik. Kawaler stary, posiadacz kamienicy, takiego właśnie potrzebował.

— Będziesz pan miał wolne pomieszkanie, a obowiązek nie trudny.

Pan Boromeusz milczał.

— Tylko pomieszkanie — mówił dalej kawaler. — Płacić nie mogę. bo nie opłaciłoby się. Dochody bardzo skromne, a wydatków — no! aż głowa boli. To i tak dobrodziejstwem mogę nazwać, że daję utrzymanie komu przy tej lichocie dochodów. Dla pana to prawie. I ja wolę starszego człowieka.

— To pan daje pomieszkanie — odezwał się Boromeusz. — Pomieszkanie tylko nie może, jak Bóg żywy! starczyć na utrzymanie.

— A zmiłujże się dobry panie! Czyż mógłbyś w tak ciężkich czasach wymagać czegoś więcej? — Zresztą ja nic więcej nie obiecuję.

— Jeżeli przyjmę, to może pan zechce z łaski, w nieszczęściu mię poratować...

Stary kawaler cofnął się o kilka kroków wstecz.

Pan Boromeusz zaczął na to mówić otwarcie:

— Przyjmę i w tej chwili i oddam panu moje papiery — tylko bądź pan łaskaw zaliczyć mi kilka guldenów jako pożyczkę... Jestem w nieszczęściu.

— Ktoż wolny od umartwień na tym świecie? — zawołał kawaler i właściciel kamienicy. — Ale żeby zaraz dla tego pożyczać!

— Kiedy muszę panie! muszę. Przymusza mię do tego niedostatek, który jednak może się skończyć, jeżeli pan tak łaskaw i da mi tę posadę.

— Wynagrodzenie daję w pomieszkaniu.

— Którego przecie nie będę mógł przyjąć, bo w tej chwili nie mam żyć z czego, a dziecko jedno niebezpiecznie słabe.

— To zły prognostyk, to zły! Człowiek powinien zawsze przynajmniej na życie zarobić i przedewszystkiem umieć zastosować się do okoliczności; żyć według miary, nie nadużywać.

— Dziękuję panu! dziękuję! Nauk słyszałem dosyć i przychodzi mi ich jeszcze na stare lata słuchać; ale wyrozumienia nie znalazłem nigdzie.

— I nie przyjmujesz pomieszkania prawie za darmo?

— Panie, córka mi zachorowała! Ja szukam ratunku.

— Wszakże słabość, to tak zwykła rzecz na świecie.

— To zwykła, zwykła, jeżeli nas nędza nie ciśnie. Żegnam pana! — wyrzekł pan Boromeusz i wyszedł zwolna.

Stary kawaler pokiwał głową, zażył tabaki i wymówił z ubolewaniem:

— Mój Boże! co to za świat przewrotny! I chciej tu komu dobrze zrobić — ulituj się nad nim! — Szkoda litości, szkoda litości! — Szkoda i uwag starego kawalera, bo pan Boromeusz nie słyszał ich. Poszedł swoją drogą, a szedł z dniem każdym do głębszego zwątpienia.

Melanja czyniła usiłowania ze swojej strony na własną rękę. Nie śmiała doradzać rozbicia rodziny; rozejścia się w różne strony, ale sama chwyciła się projektu wystąpienia na scenie.

Trudności nasuwały się rozpoczęcia zawodu artystkna prowincji, bo opuszczać zwątpionego ojca i chorą sioistrę — Melanja nie mogła. — Ale jak wystąpić we Lwowie? — Chodziła z Cezarem. Przyjęto chętnie i zezwolono na występ, ale ratunek ztąd mógł być dopiero po wystąpieniu i to — jeżeli się powiedzie. — Melanja nie wątpiła, że się powiedzie; ale Cezar, nabywszy już cokolwiek doświadczenia, powątpiewał bardzo. Tymczasem nie było i o czem wystąpić i brakowało czasu postarania się o potrzebne rzeczy. A jak wyuczyć się roli przy chorej siostrze i wobec niesłychanej nędzy w domu? Przeszkody takie nie odstraszały jej wprawdzie; ale opóźniały rozpoczęcie zawodu, a tem samem według niej spóźniały i wszelką pomoc dla rodziny.

Czwarty dzień mijał jak Stasia zachorowała. Dziś, dnia czwartego zrobił lekarz nadzieję, ale zalecał większą staranność, co znaczyło: niezwłoczne wykonywanie jego przepisów, pociągających koszta nie małe. W pokoju ma być cieplej, chorej potrzeba rosołu, buljonu i t. d. W zadawaniu lekarstwa trzymać się ściśle godzin oznaczonych. Wszystko to rzeczy bardzo nieznaczne, zwykłe — do wykonania łatwe — gdzie jest dostatek, lub przynajmniej nie ma niedostatku.

Melanja siedziała właśnie przy Stasi — rozmyślając nad nieszczęsnem położeniem domu, — kiedy wszedł Cezar.

— Jak jej? — zapytał zbliżywszy się do łóżka Stasi.

— Trochę lepiej — odparła Melanja. — Ale potrzeba wielu rzeczy, na które nie mamy pieniędzy.

— Nie mamy pieniędzy, bo nie mamy energji — wyrzekł tonem szyderczym Cezar.

— Cezarze! i ty możesz to mówić? Nie widzisz-że jak pracujemy, czy możemy więcej?

— Nie mamy energji — powtórzył tym samym tonem Cezar. — Nie mamy energji i bezczelności zostania komedjantami na świecie.

— Zrobił ci kto wyrzut jaki?

— Zrobił mi zarzut pewien jegomość, zrobił za to, że przyjmując od niego robotę, prosiłem o zaliczenie mi naprzód kilku centów. Nie chciałem się tłumaczyć, na co i po co, bo to obrzydnie nakoniec.

— I nic nie masz? — zapytała Melanja.

— Owszem mam, dlatego przyszedłem.

— A Szeremet nie powrócił?

— Nie jeszcze. Byłem dziś u pana Politatowskiego, i ten cymbał rozsypał się ze skargami na Aleksandra, że nie tak mu robi jak on chce. A trzeba ci wiedzieć, że sam jak tabaka w rogu, a do tego i zarozumiały.

— Wolno mu, ma pieniądze — wyrzekła Melanja.

— Wolno mu, dlatego tylko, że ma pieniądze — powtórzył Cezar. — Co za śmieszna wolność!

Po chwili — zapytał znowu:

— Kiedyż ty wystąpisz pierwszy raz na scenie? — I czy ojciec wie o tem?

— Nie wie, zresztą teraz nie mam czasu. Tracę nadzieję i tracę...

Nie skończyła. Cezar, poczekawszy, ozwał się zniecierpliwiony:

— Coż więcej tracisz?

— Młode lata. — Marnieję.

— Młodszaś odemnie.

— Ale ty mężczyzna; wszystko jeszcze od ciebie zależy, od ciebie samego. Możesz pokierować sobą jak ci się podoba... Ale kto tak nieszczęśliwy...

— A! domyślam się — rzekł Cezar powstając z miejsca. — Felicjan zawiódł twoje nadzieje. Nigdy go nie lubiłem, jakbym przeczuwał, że to człowiek bez charakteru. Ach! iluż ja znam dzisiaj takich, i do tego bardzo młodych, bo nawet moich kolegów.

— Jakież są ich — wasze zamiary? — zaczęła Melanja, gdy wszedł Boromeusz i od progu, jakby odpowiadając na zapytanie Melanji — wyrzekł z goryczą:

— Co jest ich zamiarem? Wyśmianie, wyśmianie i jeszcze raz wyśmianie. Wszędzie widzą śmieszność, wszystko jest głupstwem, tylko sami nic jeszcze rozumnego nie wymyślili.

— Niech tato mię nie zalicza do tego bractwa.

— A tak, bo ty jesteś komedjantem rzeczywistym, przynajmniej w tem mniej fałszu.

— Już dawno nie jestem — uczę się teraz i chcę się zapisać na technikę.

— Moje dziecko! to mnie pociesza, to jedyna pociecha w naszej nędzy. Tylko tymczasem, tylko teraz ja już doprawdy nie wiem: jak radzić; ja nic, nigdzie w żaden sposób zarobić nie mogę. O! moje dzieci, nie pojmujecie nawet, jak to boli!

— Cezar stara się dopomagać jak tylko może — ozwała się Melanja.

— A coż on może? Chyba tyle, że sam wyżyje, a spytaj go jak? Taki świat dzisiaj. Przecież dawniej lżej było.

I wzruszywszy ramionami poszedł pan Boromeusz do alkierza, gdzie od pewnego czasu siadywał i zamyślał się całemi godzinami. Przechodził często w stan nieruchomości bezmyślnej i zasypiał. Cezar wszedł za ojcem i chciał mówić, rozweselić go nieco, ale nie mógł zeń i słowa wydobyć. Na wszystko odpowiadał tylko potrząsając głową lub zrobiwszy poruszenie zagadkowe ręką.

— Co ojcu? Melanjo, co się tatowi stało? — zaczął strwożony Cezar powracając nazad.

— Coż, nędza! — odparła siostra.

Cezar nie mógł wysiedzieć dłużej, i tu, gdzie go serce trzymało, odtrącała i wypychała rospacz.

Wybiegł na ulicę i tu dopiero łzy zabłysły w oczach. Uczucie bolesne napominało go, aby radził, czynił usiłowania; ale boleść nie podawała żadnej myśli zbawiennej. I obwiniał sam siebie bardziej może, niż obwiniał świat w chwilach gorżkich. Młodemu zawsze się zdaje, że świat tyle mu winien, i bardzo już postąpił, jeżeli wynajdzie grzech w sobie i pierwiej siebie, nim ludzi obwini.

XVI.

W interesach pana Politatowskiego wyruszył Szeremet w świat, a szczęście z przeciwnej strony wyruszyło na spotkanie z nim. Nie było to wprawdzie szczęście ślepe co z nieba spada i przeraża człowieka, ale było ofiarowanie mu posady znośnej i intratnej. Obywatel, do którego w interesie nie swoim przyjechał Szeremet — obywatel ten reformował swoje gospodarstwo. Jakkolwiek i tu było więcej dobrej chęci niż czynu, ale był to zawsze krok naprzód.

Pan R... z R... przebywał dotąd za granicą, nadal nie miał postanowienia osiedlenia się stałego w kraju; ale zmieniał tryb gospodarstwa, zarzucając dotychczasowe wypuszczenie dóbr w dzierżawę, a zamierzając natomiast przyjęcie zdolnego agronoma na zarządcę. Ponieważ w R. poniszczone lub w skutek nieodnawiania upadłe były budynki, potrzebował pan R. kogoś, coby zajął się restauracją. Szeremet był fachowym, a nabywszy już cokolwiek praktyki mógł śmiało podjąć się wykonania tego rodzaju robót. Przyjęty rządca był cokolwiek starszym od Szeremeta, ale kolegą ze szkół; był młodym i praktycznym ze szkoły rolniczej krajowej agronomem, posiadającym przytem wykształcenie praktyczne, którego nabył przy wzorowych gospodarstwach za granicą.

Młody agronom zalecał Szeremetowi bardzo pana R., który miał i ten przymiot nieoceniony w oczach jego, a niesłychaną zaletę w oczach ludzi, co obowiązek podnoszą do rzeczy nadzwyczajnych, że chciał, ażeby z pracy którą nastręczał, korzystali tylko krajowcy.

Szeremet przebywszy kilka dni na wsi, przekonał się, że pan R. mógłby był być wzorem obywatela ziemianina, gdyby niektóre uprzedzenia rodu nałogowe, nie czyniły go dziwakiem. I tak: do dzieci był nauczyciel Polak i uczył tylko w polskim języku, ale dzieci oddać do szkół publicznych obawiał się pan R. A to czego się obawiał, było w istocie bardzo błahe. Obawiał się wyroku opinji ludzi jego stanu. Włościanom kazał robić dobrze i jak najlepiej, wspomagać ich i pomagać im do podniesienia

własnego ich bytu materjalnego; ale nie taił się z tem, że nie bardzo lubi chłopów, a nawet unikał stosunków osobistych z ludem.

Kiedy stanęła ugoda, bardzo łatwa zresztą, bo pan R. ofiarował nadto o wiele niż się Szeremet spodziewał, i kiedy Szeremet załatwił także interesa pana Politatowskiego, powracał z rozpromienionem czołem i lżejszem sercem do Lwowa.

Już, spodziewał się wszystko pójdzie składniej, kiedy pierwsze przełamane trudy. Dostaje pracę, wypłacającą się sowicie, staje w położeniu człowieka, mogącego wspomódz drugich. Drugiemi, o których myślał byli: pan Boromeusz, Stasia, słowem cała rodzina, której przecie po wielkim ucisku zabłyśnie także chwila znośniejsza. Szeremet w myślach powracał panem w całem tego słowa znaczeniu. A pamięć miał wdzięczną i wspomniał także o pomocy dla Cezara, pana Pawła i dla zacnego Iwasia. Szeremet był gotów całemu światu podać w jednej chwili zbawienie.

I pan Politatowski miał nadzieje, inne zupełnie jak Szeremet. Układał sobie, że Szeremet uporawszy się z inwentarzem fabrycznym, który nie był prowadzonym a raczej trzeba go było dopiero stworzyć — przyjmie projekt jego nowy. Pan Politatowski układał sobie bowiem plan wybudowania nowej fabryki zapałek i świec woskowych i parafinowych. Użyć chciał do tego Szeremeta, któryby za skromne wynagrodzenie zrobił wiele i dopilnował szczególniej wszystkiego.

— Trzeba — powtarzał przejęty duchem praktyczności — wyzyskać dobre przymioty młodego człowieka. Ze starszymi nie ma co zaczynać, obliczą niesumiennie i obedrą człowieka; młody unosi się jeszcze sumiennością; niech robi, podziękuje mi jeszcze, że nabędzie doświadczenia.

Tak rozumował pan Politatowski i dnia siódmego oczekiwał niecierpliwie powrotu Szeremeta. Upragniony przybył nakoniec, ale nie wiele mówił z panem Politatowskim. Uczyniwszy krótkie sprawozdanie z załatwionego interesu, pośpieszył Szeremet kończyć przed wyjazdem rozpoczęte prace. Pilno mu było, raz w celu pozbycia się tej pracy i oświadczenia praktycznemu chlebodawcy, że go musi pożegnać; a powtóre: pilno mu było i dla tego, ażeby przez ten wieczór ostatni i noc całą pokończywszy wszystko, udać się nazajutrz, oswobodzonemu już do Stasi. Tydzień cały nie widział jej, a co gorsza, że zostawił ją i całą rodzinę jej w stanie niesłychanej nędzy. Są serca nie doznające udręczenia, zapominające ruszywszy z miejsca o tem, co zostawiają za sobą. Są to ludzie szczęśliwi, którym najbardziej uśmiech do twarzy przypada, którzy mają naturę elastyczną. Kiedy zimno i grozi nieszczęście, wtedy kurczą się i poniżają; skoro wiatr ciepły i słońce przygrzeje, wtedy wyciągają głowę i rosną w olbrzymów miękkich jak rozegrzana gumielastyka. Gdyby bardziej przygrzało, mogłoby się stać z niemi, jak z djabłami w starych bajkach.

Tak rozumnym, nie doznającym udręczeń, ani elastycznym nie był Szeremet. Miał stałą duszę, ale ludzkie serce i ta strona ludzka była mu udręczeniem w życiu między ludźmi, co jak na wiek rozumny pędzą dosyć bezrozumnie, bo do pozbycia się cech ludzkości. Przepędził więc noc całą przy pracy w usposobieniu gorączkowem.

Nazajutrz miał oddać gotową pracę i rozstać się z panem Politatowskim; nazajutrz miał pośpieszyć do Stasi i wnieść radość do przybytku niedoli.

XVII.

Dwa dni minęło od bytności Cezara w domu. Stasia przychodziła nie do sił, ale po ustąpieniu gorączki do kaszlu uporczywego. Pan Boromeusz chodził po kilka godzin chmurny i zamyślony. Radzić już nie umiał i nie mógł. Chodził do miasta codzień, ale więcej z przyzwyczajenia, jak za interesem. On sam przedstawiał okropną ruinę człowieka upadłego. Jeżeli się trzymał, to chyba głodem i złością, bo od kilku dni gniewało go wszystko. Jak dawniej łagodny, tak teraz stał się opryskliwym.

Był wieczór; tego wieczora powrócił właśnie Szeremet. Pan Boromeusz znużony chodzeniem usiadł przy Stasi.

— Zjadłabym co — ozwała się zcicha chora.

— Doktor nakazał dyetę — uprzedziła Melanja.

— Powiedz lepiej, że nic nie ma w domu! — rzekł na to ojciec i zerwał się z miejsca. — Przeszedł po pokoju i zapytał zwrócony do Stasi:

— Czy bardzo jesteś głodna?

— Nie, tatku — nie bardzo — odparło dziewcze słabym głosem.

— Kłamiesz! — zawołał pan Boromeusz i wybiegł z pokoju.

Wyszedł na ulicę i przy świetle latarni oglądał wyszarzany mocno surdut, jedyny, który miał na sobie. Namyślał się, stał chwilę, nakoniec wyrzekł do siebie:

— I ktożby poratował? — Chyba żyd da mi co na to.

Co wyrzekłszy puścił się ku miastu. W pół godziny powracał tą samą drogą z głową zwieszoną na piersi. On nie liczył już dni w tygodniu ani tygodni w miesiącu; ale w mieście przypomniano mu, że to piątek, więc i żydzi nie poratują. Blady był, tylko usta paliły się żarem i oczy dziwnym jaśniały blaskiem.

Wychodził z domu zły, zachmurzony i opryskliwy; teraz powróciwszy, łagodny był jak dawniej nieraz. Usiadł przy Stasi, pieścił ją, całował w głowę, żartował z Urszulką i Melanją, tak że dziewczęta uradowane tą zmianą na dobre, zapomniały i o nędzy. Trwało to może z pół godziny, a przez te pół godziny pan Boromeusz był człowiekiem lat ubiegłych. Około dziewiątej wyszedł do przyległego pokoju i drzwi zasobą zamknął, zamknął na klucz. Nikt o tem nie wiedział, bo zrobił to jak najciszej, a drzwi zamykał zwykle już od kilku tygodni.

Wszedł, — zapalił kaganek i usiadł przy stole. — Wyjąwszy na wierzch papier zaczął pisać. Zajęty tą pracą z godzinę zdawało się, że zasypia; ale on siedział zamyślony i wzdychał. Kilka łez upadło na papier, który po kilka razy odczytywał. Nareszcie powstał od stołu i wyciągnąwszy z kąta jakiś zwitek papieru, rozwinął go i położył na stole. Pobladł okropnie, a wyrzekłszy te słowa:

— Kiedy Ty chcesz Boże tak, to niech tak będzie! — porwał szklankę wsypawszy do wody proszek. Podniósł szklankę z wodą do ust i znowu się zawahał. Wyszeptał zcicha: — »O! moje dzieci! moje dzieci!« i nie wahał się dłużej. Wypił truciznę, a dopełniwszy tego, położył się na łóżku. Twarz źmieniała i kurczyła się co sekundy, ale ani razu nie jęknął. Cisza panowała, okropna cichość! Zanim wybiła jedenasta — na łóżku leżał już tylko trup żyjącego przed pół godziną człowieka.

Mógł był zaczekać do rana, aż Szeremet przybędzie z pomocą; mógł był iść do kościoła i błagać o zesłanie pomocy z nieba; tylko nie mógł patrzeć, jak przychodzące do sił dziecko po słabości, traciło siły z głodu; jak żona bez narzekania łzy ciche kryła, jak jeszcze dwie córki uśmiechały się w nędzy, a uśmiech szpecił ich usta, bo był fałszem.

Oto wszystko co mógł, a czego nie mógł, a co zrobił! Został samobójcą. Innemi słowy: przestał nagabywać i niepokoić ludzi spokojnych. Przyjaciele jego mogą odetchnąć swobodniej; ludzie praktyczni i moraliści nie będą mieli komu prawić morałów, chyba kaznodzieje ci pójdą i oplwają grób nieszczęśliwego mówiąc:

— Nędzniku! o! jakże shańbiłeś ród ludzki!

Na drugi dzień była rospacz w domu nędzy, a Stasia leżała w gorączce. Szeremet stał obok niej bez słowa, drżący. Zabrał kilka kartek zapisanych przez urzędnika niegdyś, a dziś należącego już ziemi, choć jeszcze w domu, trupa.

Na jednej z tych kartek czytał:

»Nie mogąc wyżyć według miary takiej, na jaką pozwalały okoliczności, wybrałem położenie i okoliczności wygodniejsze. Za kilka godzin położą mnie do trumny takiej, w której się ciało martwe zmieści, nie do mniejszej. Choćby w kieszeni mojej nie znaleziono grosza, sprawić mi muszą trumnę. Możnaby włożyć człowieka przemocą i do mniejszej trumny, ale ja po śmierci nie boję się przemocy. Przykazania zresztą chrześcjańskie nie pozwalają na to. Kto wie, czy nie pożałują sprawiający mi pogrzeb, że są wiary chrześcjańskiej. Na świecie robi się wiele dla oka, z tej też przyczyny pogrzebią mię po chrześcjańsku, choćby w duszy przeklęli mię za ten wyciągniony im grosz z kieszeni.«

Tegoż dnia przewieziono ciało do szpitalu powszechnego, do budynku Popijarskiego. Na trzeci dzień był pogrzeb. Ludzi orszaku pogrzebowego można było policzyć. Żona, dwie córki, bo Stasia leżała bez przytomności — rodzina pana Pawła, Cezar, Szeremet i Iwaś. Oto wszyscy, którzy nie pogardzili samobójcą.

Dnia czwartego zajął się Szeremet przeniesieniem rodziny z przedmieścia, z nędznej chaty do pomieszkania wygodniejszego w mieście. Słabość Stasi niepokoiła go bardzo, ale i dodawała energji. Otoczył ją staraniem, a sam wyjechał na kilka dni do pana R. dla objęcia nowych obowiązków. Kiedy powrócił, zastał Stasię po przebyciu wielkiej słabości i chorą jeszcze, ale już przytomną. Po wielu udręczeniach była to dlań pierwsza godzina wielkiego szczęścia i wielkich nadziei. Co dni kilka musiał opuszczać drogich sercu, ażeby nie zaniedbywać powierzonych mu prac. Zabrał ze sobą wdzięcznego Iwasia, powierzając mu dozór. Po kilku miesiącach dopiero, na wiosnę, mógł dalsze zamysły w czyn przeprowadzać. Stasia była już tylko smutną czasami, ale o słabości nie pamiętała prawie. Cezar pracował, uczył się marząc o Anusi. Jednej tylko Melanji nie uśmiechało się szczęście. Kiedy obok niej projektowano, radzono, i ona doradzała; ale od śmierci ojca, zarzuciła myśl poświęcenia się zawodowi dramatycznemu.

Szeremet stał już w lecie tak dobrze materjalnie, że był w stanie prowadzić dom, pojąwszy Stasię na towarzyszkę dozgonną; ale dzielił ich jeszcze świeży grób ojca. Do zupełnej szczęśliwości brakowało Szeremetowi nie mało, bo spotykał i teraz obok większej praktyki ludzi względnie szanownych, którzy nieraz uczyli go, jak to wyzyskuje się szczęśliwa chwila. Dobre chęci na wierzchu... Ale, niech tam sobie Szeremet tymczasem sądzi, który dopiero po roku upłynionym od śmierci pana Boromeusza sprosi zapewne gości na swoje wesele, ażeby podzielić radość...

Koniec.

Ostatnie sceny

pierwszego aktu historycznego dramatu:

HIERONIM RADZIEJOWSKI

Bronisława Komorowskiego.

(Dokończenie).

Występuje Król JAN KAŹMIERZ z wieloma Senatorami i Dworzanami; po chwili SŁUSZKA ze zbrojnymi dworzanami.

DAWNI.

KRÓL.

Ktoż to wyprawia te burdy po nocy!
Kto się ośmiela w pośród naszej cissy
Zakłócać spokój pod samym tu bokiem
Królewskim? — Ledwo się temu uwierzy!
Bitwa tu jawna!... Więc nam nie mów okiem,
Lecz się wytłomacz Mości Podkanclerzy!
Was pytam najprzód, bo gwałt w Waszym domu
Spełniono!

RADZIEJOWSKI.

Stawam na odpowiedź — krótką.
Dobyłem miecza, by uniknąć sromu,
I uczyniłem gwałt, gwałtu pobudką.
Kto zaś rozniecił tu pochodnię wojny:
Oto racz Wasza królewska Mość spytać
Kogo innego!

KRÓL (*podchwytując*).

Ktoż tu drugi zbrojny?...
(*Służka występuje*).
A! pan podskarbi! Zaczyna nam świtać...

SŁUSZKA.

Tak Miłościwy Panie! i mnie wcale
Tego nie zaprzeć; mnie, dobremu bratu
Nie były wcale obojętne żale
Podkanclerzyny: boć całemu światu

Jest już wiadomo, jakie to w tem stadle
Było mężowskie ze żoną pożycie —
A że Jegomość stawił się zajadle
I nie dał odejść spokojnie kobiecie,
(Mimo, że rozwód tu zaszedł wyraźny)
Więc ja lękając się sercem braterskiem
O los Jejmości, powziąłem doraźny
Zamiar: ramieniem jej dobyć rycerskiem
Ze szpon intruza, kiedy nie chciał zgodnie
Skończyć tej sprawy. To jest moje słowo!

KRÓL.

Na Boga! to coś zakrawa na zbrodnię
Obrażonego majestatu! — Głową
Ktoś tu odpowie — boć człeka obraza
Nie daje jeszcze mu władzy sędziowskiej
Nad przeciwnikiem: a Ichmość żelaza
Dobyli? — Jakto, panie Radziejowski,
Czyliż wam słuszna było gwałtem trzymać
Niewiastę, jeśli z Waścią żyć nie może?
Ile, że rozwód...

RADZIEJOWSKI.

Ha! więc ja się zżymać
Nie mam powodu, kiedy moje łoże
Poszło w dzierżawę? kiedy mię jak gacha
Z własnego łoża i z własnego śmiecia
Wypędzić chciano? Cha, cha, cha, cha, cha, cha!
Toż byłbym sławnym po wszystkie stólecia,
Gdybym przepuścił mej hańbie tak snadnie!

KRÓL.

Czemuż to Waszmość do nas się nie stawisz
Z swoją żałobą, lecz tak jak ci padnie,
Sam tu odbywasz sądy, sam się krwawisz?

RADZIEJOWSKI.

Och! bo już niemasz na szerokim świecie
Mściciela krzywdy mojej! Jeden ci ja,
A drugi chyba Bóg!... Tak mi się plecie,
Że nie wiem kto mi wrogiem, a kto sprzyja
Sprawiedliwości ludzkiej!

KRÓL.

Ej, na Boga!
Waść się zaślepia!... To nam rzecz! Ej, Mości!
Pomnij kto panem tu!

RADZIEJOWSKI.

Cha, cha! gdzież wroga
Mojego znajdę królu?

KRÓL.

Dość tej złości! —
Między stronami spisać tu akt sporny,
By wydać wyrok trza mieć sprawy zaród.
Sąd, niech marszałek nasz sprawi nadworny.

RADZIEJOWSKI.

Na mnie sąd taki? Moim chyba naród
Sędzią! — Więc protest składam uroczysty
Przeciwko sądom takim i wyrokom —
Boć i ja dobrze znam zwyczaj ojczysty
I prawo, co jest wdrążone opokom
Serc, wszystkim synów tej Rzeczypospolitej...
Walny sejm sądzić mię może jedynie
Na ziemi! Przed nim ja stanę odkryty
Na twarzy — on niech coś powie o winie
Mojej...

(*Bierze szablę od Jasińskiego, i wyrębuje nią drzwi, któremi wyszła Radziejowska*).

Ja dzisiaj oddaję wam w paszczę
Pałac i żonę — i wszystko co moje —
Ale ja nazad to sobie przywłaszczę
Wszystko...

(*Drzwi runęły, Radziejowska pokazuje się za niemi*).

Ot! — macie otwarte podwoje —

(*Chwyta za rękę Radziejowskę i rzuca ją królowi*).

Ją!! —

KRÓL.

Waść szaleje tutaj, Waść się wścieka!

RADZIEJOWSKI.

O, to początek mnie! co będzie z czasem,
Kiedy podrośnie ta rospacz człowieka?...

(*Okropnym głosem do swoich dworzan*).

Za mną! przebiegniem tę ziemię z hałasem
O naszej krzywdzie! — Za mną! dość już nędzy
W tym biednym domu! Za mną! dość już zgrozy
Z cudzołożnika!...

(*Wychodzi z dworzanami*).

KRÓL (*na stronie*).

Ha! żądło tej jędzy!...

(*Do otoczenia*).

Przebóg! tu jawne stawia nam obozy
Pan Podkanclerzy? — Ha! więc boskiej pieczy
Powierzamy chyba dalszy bieg tej sprawy. —

(*Do Słuszki*).

Waść nam się sprawił tu także od rzeczy —
Odpowiesz za to! — Lecz wzgląd nasz łaskawy,
Każe w opiekę nam wziąć waszą siostrę.

(*Do Radziejowskiej*).

Do swego zamku bierzem was. Pogróżki
Podkanclerzego trza uprzedzić ostre. —

(*Do Słuszki*).

Waść się sądowi pilnie staw.

(*Cicho do niego*).

Dla Słuszki
Mamy szczególne względy...

(*Do Senatorów*).

Waćpanowie
Byliście tutaj świadkami niedawno,
Jak wyrządzono pamazanej głowie
Naszej obrazę. W waszą godność sławną
Składamy naszą cześć nadwerężoną.

WSZYSCY.

Vivat Rex!

KRÓL (*na stronie*).

Żegnaj się ty z swoją żoną!

(*Odchodzą wszyscy*).

Galicjanka na Wystawie paryzkiej (1867 r.).

przez

J. GORDONA.

Otoż list od Celiny z Orelca — czemuż nie z Orlego Gniazda? — Pani Celina tak się wyraża:

›. . . Ileż to bym miała szczegółów do udzielenia i skorzystania z uwag pańskich nad niemi! Od ostatniej Jego bytności byłam w stolicy świata, w Paryżu; widziałam Wystawę, ojczyznę sztuk pięknych, rzeczywisty wszechświat!... z wyjątkiem Wezuwjusza, Nijagary i szczytów Himalaja... bo nawet katakumby Rzymu, świątynie Faraonów, meczety tureckie, domki galicyjskie i pagody chińskie, wznosiły się na placu Marsowym.

A interesujące poznanie naszych znakomitości: Bohdana Zaleskiego, Kraszewskiego, Grottgera, Matejki, Kremera, Seweryna Goszczyńskiego, poety-żołnierza, Chojeckiego, autora „Alkhadara!"

Przy tej sposobności ośmielam się donieść o mojem znów szczęściu: Na dniu 21. stycznia otrzymałam pismo od Najjaśniejszego cesarza Austrji, że mój ekram, będący na Wystawie paryzkiej, przyjmuje, i jako dar wzajemny przysyła naszyjnik, na którym cyfra N. P. Marji brylanlancikami wysadzana, a wewnątrz na kości słoniowej wizerunek tej królowej nieba i naszej! Myśl piękna, jakiej się nie spodziewałam; pamiątka dla mnie droga, bo za pracę; a to najbardziej mię cieszy, że cierniowa korona, kielich goryczy, Sobieski (wszystko to w płaskorzeźbie na ekramie), staną może jak *mane tekel fares* uczty Baltazarowej w salach Burgu, lub Schönbrunu widmem sumienia, i że w odzajemnieniu Najjaśniejszy Pan tak odpowiednio się zastosował do mych uczuć i przekonań . . .‹

A teraz zapoznamy Czytelnika bliżej z Celiną z Orelca.

Czasopismo illustrowane paryzkie, upoważnione przez komisję cesarską, p. t. *L' Exposition universelle de 1867*, poświęca jej artykuł treści następującej:

›Szyby symboliczne pani Celiny Dominikowskiej. Wystawa powszechna powinna była obejmować jeden wydział więcej, w celu pomieszczenia różnych prac, trudnych do rozgatunkowania, jako przechodzących zakres znanych rodzajów sztuki, a przynajmniej oznaczonych.

W tym wydziale specjalnym, dzieła cierpliwości, wyroby ciekawe ręki ludzkiej, zajmujące wyjątki pracy, znalazłyby dla się miejsce naturalne; a jestem pewny, iż ów nowy wydział wzbudziłby tyle ciekawości, ile współczucia.

Patrzyłbym tam z radością na wielki obraz p. Pedro Nin y Gonzalès, obywatela weneckiego, skreślony piórem; na ramy marmurowe barona Friqueti; na wyroby wycinane z drzewa, wystawione w wielkiej galerji maszyn; nakoniec na szyby symboliczne p. Celiny.

I cóż to są w rzeczy samej owe szyby? do jakiej klasy mogą należeć? do jakiego rodzaju?... Do żadnego.

Pani D. nie jest artystką w ścisłem znaczeniu tego wyrazu; nie jest ani rzeźbiarką, ani malarką, ani rytowniczką. Pomimo to, jej dzieło zasługuje na uwgę publiczności, i chciałbym je widzieć we właściwym wydziale Wystawy.

Pani D. rodowita Polka, zamieszkuje okolicę podgórza sandeckiego w Galicji austrjackiej; tam to dla spędzenia użytecznie długich godzin samotności, poświęciła około dwóch lat pracy. Piłka i rylec były dla niej jedynemi narzędziami; a dzięki czasowi, dzięki usilnym staraniom, wytrwałości — doszła nakoniec do ukończenia wytwornej, że tak powiem, płaskorzeźby.

Myśl przewodnicząca dyletantce zwraca więcej uwagi jak dzieło samo. Czerpała natchienie w żywocie Chrystusa dla scharakteryzowania głównych narodów europejskich, i bezwątpienia wybrała w tekstach Pisma Św. takie, które najlepiej znamionują te narody.

Dzieło całe składa się z sześciu szyb alegorycznych:

Niemcy uwydatnieni przez scenę z życia Jezusa, gdzie tenże, jako dwunasto-letni młodzieniec, godzi kłócących się mędrców i filozofów w kościele jerozolimskim. Przedstawieniu tego obrazu towarzyszą słowa: ›A zdumiewali się wszyscy, którzy go słuchali, rozumowi i odpowiedziom jego.‹ (Łukasz, II, 47.).

Francja jest określoną wyrazami: ›Jam jest światłość świata. Kto za mną idzie, nie chodzi w ciemnościach, ale będzie miał światłość żywota.‹ (Jan, VIII, 12.) Słowa powyższe figurują pod obrazem przedstawiającym boskiego Prawodawcę, strofującego Faryzeuszów przed kościołem jerozolimskim.

Anglicy nacechowani tekstem: ›Kto jest ten Pan, któremu wiatry i burza posłusznemi są?‹ (Job, XXVI, 12.).

Włosi: Chrystus wręcza klucze św. Piotrowi, mówiąc: ›A ja tobie powiadam, iżeś ty jest opoką, a na tej opoce zbuduję kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go.‹ (Mat. XVI, 18.).

Co do Polaków, pani D. wyobraziła ich w rysach Chrystusowskich w ogrodzie oliwnym, gdy Syn boży wymawia ze słodyczą i rezygnacją: ›Ojcze mój! jeżeli nie może ten kielich odejść, jeno abym go pił, niech się stanie wola Twoja!‹ (Mat. XXVI, 42.).

Te rozmaite obrazy na szkle są ozdobione armaturą i stosowną rzeźbą z drzewa służącego za ramy; na każdej zaś szybie są nadto wyrzynane imiona wielkich ludzi, najwierniejszych przedstawicieli różnych epok narodów: I tak: w Niemczech: Karol V, Marja Teresa, Schiller, Humboldt; we Francji: Karol W. (Charlemagne), Napoleon, Jeanne d'Arc, Montesquieu; w Anglji: Elżbieta, Szekspir, Newton, Nelson; we Włoszech: Leon X. Rafael, Dante, Michał Anioł; w Polsce: Kopernik, Kościuszko, Jadwiga, Sobieski.

Za przybyciem do Orelca z przyjemnością słuchałem opowiadań Celiny o owej Wystawie powszechnej świata.

— Wstąpiwszy na most Jena — mówiła — nie wiedziałam, gdzie okiem najprzód rzucić. Za mną olbrzymi Paryż, Sekwana; przedemną pole Marsowe, a na niem Wystawa — wszechświat! Zaraz na wstępie ogrom przedmiotów uderzył: kościółek w gotyckim stylu, pawilon cesarski, latarnia morska z elektrycznem światłem, wodotrysk! W pośrodku placu, w owalnym kształcie, zbudowany z żelaza i szkła główny pałac Wystawy.

W około kawiarnie, restauracje różnych narodowości; naprzeciw sklepy z produktami i wyrobami rozmaitych krajów. Tu Algierczyk sprzedaje pantofle i koszyki, obok

Turek fajki, Chińczyk porcelanę, Niemiec błyskotki, Hiszpan *alcarazza* (naczynia na wodę). Dalej słychać dziką muzykę Afrykanów z Tunisu, łoskot maszyn będących w ruchu; tam znowu pieszczą ucho: melodja sławnego amerykańskiego fortepianu i wzniosłe religijne tony dzwonów (carillon). Na szklannej rurce przemysłowiec naśladuje wdzięczny śpiew słowika...

A przy tem wszystkiem ścisk, gwar, osób tysiące z różnych części świata, zmięszane języki Murzynów, Japończyków, Francuzów i Szkotów w narodowych strojach. Angielskie *yes! o yes!* niemieckie *Herr Gott!* słyszeć się często daje. Ten woła: Pójdźmy do Belgji! ów: Zajrzyjmy do Stanów Zjednoczonych Ameryki! tamten ciągnie przyjaciela do Egiptu. Z Egiptu idą dalej, aby zwiedzić dno morza!...

Pani Celina widziała na Wystawie i konie moskiewskie, wąchała zapach dziegciu i słyszała nawet wykrzyknik — *sukin syn!*

Na widok wnętrza głównego pałacu zdumiała. Tam nagromadzone artykuły sztuk, przemysłu, rzemiosł, szczyt potęgi umysłowej, postępu i piękna!

W gmachu zatrzymała się najprzód przed obrazem Matejki: „Upadek Polski“ i zadumała, jak Jeremjasz nad gruzami Jerozolimy. Musi to być — mówiła — dzieło jenjalne, skoro ogólne wrażenie sprawia; zawsze gromadzi się przed niem kilkadziesiąt osób, pilnie mu się przypatrujących. Przedstawienie charakterystyczne — tylko koloryt zdaje jej się być cokolwiek z a j a s k r a w y. Do tej sceny zbrodni i bolu, za odpowiedniejszy by uważała koloryt szkoły włoskiej, na wzór Rafaela, lub Corregia.

Naprzeciw obrazu Matejki były umieszczone rysunki Grottgera: „Wojna“ oddające chwile z ostatniego powstania.

W u p a d k u P o l s k i Kaimy — w w o j n i e bohaterowie i męczennicy!...

Pani D., napatrzywszy się do woli na arcydzieła rodaków, nie zapomniała także przy sposobności odwidzić i swojego ekramu o szybach symbolicznych; — utrudzona wreście ciągłym ruchem i wpatrywaniem się we wszystko, co ją najwięcej zajmowało na wystawie, poszła spocząć do ogródka osady — Chińczyków. Prawdziwych Chińczyków! nie z porcelany, ale żywcem przywiezionych z Pekinu.

W tej osadzie, nietylko ludzie, lecz i drzewo budulcowe w kioskach, krzewy, rośliny i kwiaty, plantacje, herbaty, a nawet słoma dach pokrywająca i żwir, którym były wysypane ścieżki, wszystko rzeczywiście chińskie! Słowem, cesarstwo niebieskie w minjaturze, nieznane Chiny na bruku paryzkim — Brakowało tylko tła nieba chińskiego; — zapomniałem dodać: i syna słońca z mandarynami.

Nasza dyletantka nasyciwszy umysł pięknościami Wschodu — jakkolwiek rozmarzona, poczuła apetyt do jedzenia. Ciało nie cierpi czczości, trudno mu się karmić samą ambrozją. Była to właśnie pora obiadowa — zaszła więc do restauracji.

Tu nowa oryginalność! Wedle reguły chińskiej potrzeba było zacząć jedzenie od deseru, a kończyć na zupie; używać dwóch pałeczek zamiast widelca do mięsa, pokrajanego w drobne kawałki; posługiwać się cieniutkim papierem z jedwabiu, którego zapas leżał przed każdym gościem w miejsce serwety.

Zresztą Chińczycy jadają podobnie jak i my: mięso, drób, ryby i jarzyny. Podają wprawdzie i pewne łakotki, jak np. pletwy z rekina, owady smażone, główki wróble i gniazda jaskółcze; lecz te przysmaki, zwłaszcza ostatnie, bardzo drogo kosztują.

Gniazdeczka, któremi traktują Chińczycy, nie są tego rodzaju — rozumie się — jak te, które jaskółki polskie przylepiają do ludzkich mieszkań; gniazdeczka chinek są delikatniejsze. Znajdują się one tylko na wyspach archipelagu indyjskiego; składają się z piór, roślin morskich i słomy, sklejonych za pomocą gumy wydzielającej się ze śliny ptasiej. Klejowatość jej powstaje z pokarmu, jakim się jaskółka na morzu żywi.

Klejowatość ta, będąc stwardniałą, choć zostanie oczyszczoną z piór i źdźbła, zatrzymuje kształt gniazda. Gotują ją w wodzie z przyprawami, wtedy rozdziela się na włókna. Potrawa zatem, gdy ją na stół podadzą, podobną jest do rosołu z makaronem.

Smacznego apetytu!...

Ale wróćmy do Galicjanki! Lubiła ona, jak to lubią zwykle artyści, literaci i poeci, napić się po objedzie dobrej kawki. Narkotyk mokki ma coś mile upajającego. Przyszła jej tedy myśl zajść po to do karawanseraju egipskiego, zwanego przez Arabów o k e l albo o k e l a. I ni mogła w samej rzeczy wybrać stosowniejszego miejsca. Na całej kuli ziemskiej lepszej jak tam, wonniejszej i podanej z większym przepychem, wdziękiem i okazałością mokki, pewnieby nie znalazła. Umieć połączyć użytek z poczuciem piękna — i to sztuka!

Wstęp swój do orjentalnej kawiarni tak też opowiada:

— Wnijście tam nie przysługuje wszelkiej publiczności; lecz jest się dopuszczonym za przedstawieniem biletu od Edmunda Chojeckiego (znanego powszechnie przez Francuzów pod imieniem Charles Edmond), bibliotekarza senatu, będącego zarazem komisarzem jeneralnym Wystawy ze strony wice-króla egipskiego.

Każdego wchodzącego przyjmuje z uprzejmością francuzką intendent zakładu, i częstuje go kawą, fajką lub nargilą — bezpłatnie.

Wszystko co otacza przybyłego gościa, nosi cechę wytworności egipskiej. Sześciu służących Arabów, z cerą twarzy pargaminową, przybranych w czarne beduiny złotem wyszywane, w czerwonych i żółtych mesztach, przynoszą na przemiany kawę w małych filiżaneczkach porcelanowych, wstawionych zalotnie w pewien rodzaj naczyń srebrnych filigranowych, używanych zamiast spodków.

Do kawy podają fajkę na długim cybuchu, pokrytym merynosem, ściągniętym w fałdy w środku i na końcach, za pomocą pierścieni, splecionych z nici złotych lub srebrnych.

U wierzchu cybycha bursztyn z podstawą jaspisową. Podają także nargile, dla tych co je wolą, zdobne rzeźbą, napełnione tytoniem aromatycznym.

Gdy widz nasyci się tem przyjęciem wschodniem może wnijść na piętro do apartamentu komisji wice-króla gdzie w jednej z sal ujrzy przy ścianach za szkłem wokoło pięćset mumij głów dynastycznyeh. Pod temi znajdują się trumny, już to otwarte, już zamknięte, w których spo-

czywają całkowite mumje, jedne pokryte bielizną z prze-paskami, drugie zupełnie nagie, przygotowane dla badaczów skamieniałości organicznych.

Jakże to bogaty zasób dla nauki!...

Nie od rzeczy będzie zamieścić tu wyciąg z ogólnego poglądu na Wystawę:

Francja odznaczyła się wyrobami kryształów, biżuterji porcelany, gobelinów, sztucznych kwiatów, sukień, tudzież' malarstwem.

Anglja wyrobami stalowemi, perfumami, maszynami rolniczemi i przemysłowemi.

Polska fotografjami z Warszawy, drzewem z Galicji, owcami z księztwa Poznańskiego.

Włochy rzeźbą i mozajką.

Austrja sztuką artylerji i muzyką wojskową.

Węgry winem.

Belgja wyrobami glinianemi, koronkami.

Holandja serami i mleczarnią.

Szwajcarja serami i zegarkami.

Szwecja i Norwegja rybami, sieciami i przedstawieniem narodowych ubiorów i figur. (Jeden z Norwegczyków, na widok figury sądził, że rodaka spotyka, i przemówił do niej).

Niemcy cukrami z Kolonji, drukiem.

Prusy wzorem szkół.

Moskwa futrami i świecami cerkiewnemi.

Chiny herbatą, wyrobami z kości słoniowej, porcelaną.

Japonja filigranowemi drobiazgami.

Turcja tytoniem.

Egipt kawą, wyrobami filigranowemi ze złota i srebra.

Indje kaszmirem.

Brazylja trzciną cukrową, bawełną, kauczu itd.

Testament.

(Z T. Szewczenka).

Gdy umrę, to pochowajcie
Wy mnie na mogile,
Pośród stepu szerokiego,
W Ukrainie miłej.

By łany stepu szerokie,
Dniepr i jego tonie,
Było widać, było słyszeć,
Jak ryczy śpieniony.

Gdy poniesie z Ukrainy,
W cudze, Sine morze,
Wrażą krew.
Otoż ja wtedy
I lasy i góry,
Wszystko rzucę! i polecę
W niebo, tam, do Boga,
By się modlić.
A inaczej
Ja nie chcę znać Boga!

Pochowajcie, i powstańcie!
Zerwijcie okowy!
I krwią wrażą, krwią nie dobrą,
Oświęćcie swobodę!

I w rodzinie tej przemożnej,
W rodzie wolnym, nowym,
Pamiętajcie mię wspominać!
Dobrem, wdzięcznem słowem.

Opowiadanie starego szeregowca.

(Wyjątek z pamiętnika).

...Wojennym fortelem oszukany nieprzyjaciel poszedł w lewo, nas zostawiwszy na uboczu. A wielki czas był po temu, bo hufiec ze znużenia ledwie mógł ustać pod bronią; trzy dni marszu o głodzie i chłodzie, dwie żwawe utarczki z silniejszym nieprzyjacielem... ale dał Bóg, że przecie spocząć możemy. *Victoria!*

Rozłożono ogień; kocioł zawisł nad ogniskiem; wiara rozsiadła się, jak kto mógł; zapalono fajki, powoli rozwiązały się usta — poczęto gwarzyć.

Byłem zmęczony za cały mój oddział; toż wyznaję, że z przyjemnością spocząłem na murawie.

Życie w ręku Boga, w jego woli wszystko...

I nieznacznie odbiegłem myślą od rzeczywistości; tam przeszłość moja, wspomnień tyle, nadzieje... czarowne rojenia przyszłości... tu — ocknąłem się.

Obóz wrzał rozmową; gdzieniegdzie słyszałeś piosenkę, nawet śmiech wesoły gościł pomiędzy dobrowolnymi skazańcami.

Jedna z grup zwróciła moją uwagę.

Otoczony wiankiem młodych towarzyszów, sześćdziesięcioletni Maciej szeregowiec, mruczeniem i urywanemi słowy odpowiadał na natarczywe pytania otaczających go.

— A dajcież mi pokój. Co wam po ludzkiej biedzie, gdy swojej macie po uszy!

— Bądźcie łaskawi, panie Macieju! — prosili chórem.

— Bo to, gdy się człek wypowie, to i sercu ulży...

— A zresztą i nauczym się czego, bo siwej głowy opowieść mądrą bywa.

— Opowiedźcie! opowiedźcie! — ozwały się mnogie głosy.

Jak dziadek na swe wnuki, patrzał starzec na otaczających, i łzą mu oczy zaszły.

— No, dobrze już dobrze. Tfy! Boże odpuść, niech mię piorun trzaśnie, ale — nasza krew! Ho, ho! gdybym nie widział, jak się tam aspanowie uwijacie z Moskalem — djabli go!... Ale teraz... no, to słuchajcie.

I zaczął.

— Są tu między nami panowie...

— Tu nie ma panów! są tylko żołnierze...

— No, niech już i tak... Łaska to boska... ale ja, Boże odpuść, tych tam panów nie lubię. Widziałem tego do smutka, a wszystko djabła warte! Ledwie kilku — tak niby, a reszta — żal się Boże, że swoje! Ojczyzna, to im byle urzęda — honory; a gdy to da choćby sam djabeł, to pierwszą bierz licho! Jak mi Bóg miły,

widziałem tego w mojem życiu... ‚a niech oślepnę, gdy mam jeszcze widzieć. Ot, nie lubię panów i kwita!

Jeszcze drobna szlachta — połatawszy, ujdzie... a już to nie ma, jak mieszczanin!

Tylko nie ci, zagraniczni, co na polskim wypaśli się chlebie, a Polski znać nie chcą; ale nasz prawdziwy mieszczanin — nie chwaląc się, że i ja nie szlachcic, ale z dziada pradziada rodem z Lubelskiego, a wszyscy mieszczanie!

Lecz co ja tu aspanom... Lepiej już zacznę. A gdy się wam co i nie tak wyda, to miejcie wyrozumienie, bom ja nie dzisiejszy...

— Ot było nas od pacholęcia dwóch towarzyszów: ja Maciej i Krzysztof Hybel. Żyliśmy jak bracia, i cieszyli swą biedę. Co się tam w majsterstwie przebyło, to ni wam, ni mnie już nic z tego... dość, że gdy było potrzeba — rzucililiśmy to i owo, i poszli na wojaczkę.

Było tam rozmaicie: bili my, bili i nas; ale jakoś w jednej tam kaszy, Krzysztof dostał kulą w ramie, mnie jakiś szelma po głowie pomacał... Ależ mu odmacnąłem, że i na tamtym świecie nie wyczuchra się pewnie! Zaklął, moskalisko, aż w boru trzasło, i bryknął kozła. Tak ci złodzieju!

A po wojence żyliśmy z Krzysztofem w naszem mieście.

Miałem majsternię, Krzysztof jak mógł pomagał, i żyło się, żeśmy głodu nie cierpieli oba, i mogli jeszcze wykarmić dziecię — córeczkę Krzysztofa... (Bo się jakoś później ożenił, a żona mu zmarła, zostawiwszy dziecię).

— A dziecinaż to była — świeć tam Panie! że w świecie takiej nie znalazłeś. Było nam z niem, gdyby w raju!

Ale mój Krzysztof skrewił mi — za katy! i jakoś niedługo poszedł na spocznienie....

Bóg widzi, że mi było jak na poły przeciętemu; alem dla Kasi pozostał, bo chudzina zmarłaby z głodu może, a Krzysztof na śmiertelnem łożu zaklinał, by nie rzucić sieroty.

Ot i zostałem. Do zwykłych modlitw przybyła nowa — za duszę towarzysza; postawiłem krzyż, na jaki stać było, i wziąłem się do pracy, by nie powiedział za grobem, że krzywda stała się jego dziecinie, że się oszukał mnie ją powierzywszy.

Rosło to, rosło, a takie już dobre i rozumne! A liczko tam było takiej pięknoty, że mi serce ledwie nie wyskoczy z piersi, ile razy spojrzę na nią, a dusza rwie się i woła: ›A idzi-no Krzysztofie, spojrz na naszą Kasieńkę, co to nam rośnie, gdyby malowana!‹ Ale on tam, z góry, musiał takoż doglądać jedynej, bo chowała się zdrowo, miała miłość starszych i serdeczne witanie od towarzyszek. A co już chłopaki; to jeno gęby otworzywszy patrzyli, jak dziewczę, gdyby sarneczka, uwija się, a wyśpiewywa, że nie wiesz: zkąd się to takie śliczne śpiewanie bierze u niej!

Hej, gdybyście też ją widzieli. Mieszczanka, a królewna jej na posługi; a jak pałac pałacem — takiej w nim dziewki nie było, i — nie będzie!

Jeszcze to dorastało, a już nie jeden szalał za moją p r z e p i ó r e c z k ą (tak ją zawsze z Krzysztofem nazywaliśmy). A ja ino patrzę z boku, a jak który pocznie oświadczyny, to ja mu: ›Dziewczę ledwie łyżką jeść umie; nie rękę jej, ale chyba lalkę waszmości przyjmować...‹ a sam śmieję się cichaczem, i harbuz za harbuzem pakuję paniczom.

Patrzcie go! chcieliby mi zabrać mój skarb, kiedy stare oczy nie patrzały się nań jeszcze; a kto wie: moby mi ją zmarnowali. Nie! nie wydam. Niech jeszcze się naraduje stary!

Było tam tego rozmaitych. No! oficera, to jak mi Bóg miły! omal nie wyszczułem psami, choć się klął, że b a t i u s z k ę rzuci i z nami osiedzie. Pal cię djabli! śmierdzisz mi moskalem! Tfy! czy to już w naszej ziemi nie znajdę męża dla mojej dziewuchy!

Urzędnikom, choć niby polacy, odmawiałem także. Co mi za polak, co herby carskie nosi! A ze szlachtą to już wiem z doświadczenia jak płaci koligacja. Myśli to, Boże odpuść! że łaskę robi mieszczaninowi, gdy jego córkę bierze. A pal was djabli! Nie nam to kłaniać się oświeconym: nie na naszem sumieniu leży Targowica i nie Targowica, że niech im chyba Pan Bóg nie pamięta...

Szlachtę, a było ich kilku — jeden nawet czwórką zajechał, bo mu się zdało, że mnie oślepi — puszczałem z kwitkiem! A myślałem sobie: ›Jeżeli taka wola Boża, że gołąbek mój pójść ma do innego gniazda, to niechże się choć poczciwym ludziom dostanie: mieszczanka pójdzie za mieszczanina, tak mi Boże dopomóż! bo z tymi tam panami, Boże odpuść, niech się chyba panowie wiążą.

Gdzieś to w jakiejś bajce, co często prawdą bywa, powiedziano, że ›kobiety i sto ócz nie wypatrzy; zawsze ci da kominka!‹ Na mnie właśnie to się sprawdziło.

Ja tu, panie, objadam się konkurentom, jak mogę; myślę i przemyśliwam — ale ani mi w głowie, że Kasieczka radzi sobie bezemnie.

Co to już Boże miły! ›każde stworzenie ma swe opatrzenie,‹ a gdy postanowiono, to choć rozrzuć dwoje na dwie strony świata, taki zejdą się i poznają, choć pomiędzy miljonami ludzi.

Mnie tam ba-i bardzo, ani pomyślenia! aż patrzę: moja przepióreczka posmutniała. Ba, miesiąc i drugi — marnieje. Do kata! Pytam, wypytuję: co boli? gdzie dolega? ›Nic i nic!‹ A główka chyli się ku piersiom, westchnienie za westchnieniem, ba i łzy... Boże odpuść! oślepiło mię, że ani weź dowiedzieć się, co dziewczynie.

Nie pozwalam się zaziębiać; poję rumiankiem; sprowadziłem niemca doktora — nie pomaga! Ledwie nie oszalałem.

Aż tu jakoś wieczorem, kiedy smutny siedzę w izbie przemyśliwając, że bez poratowania niknie dziewczyna — wchodzi poczciwy Antek, wyzwolony właśnie na majstra stolarskiego, i pac mi plackiem do nóg.

— A waści co takiego? — krzyknąłem. — Wżdym nie obraz, byś klękał przedemną...

A on:

— Panie majster! iście, wy obrazem dla mnie, bo się do was modlić i póty upraszać będę, aż mi przyrzeczecie dać Kasię za żonę.

Porwałem się jak oparzony.

— A to ci zkąd do głowy pr yszło? przecież jak żyw nie widziałem, że masz się do dziewuchy.

— Oj, darowanie, panie Macieju; ale znać taka wola Boża, bo jak łońskiego roku jeszcze przyśniłem, tak mi obraz Kasi z myśli nie wychodził. Oddajcie mi ją, ojcze, bo życia mi bez niej nie ma...

Słucham ździwiony. Naraz spojrzę w stronę alkierza, aż tam moja przepióreczka: w liczku ogień, serduszko tak bije, że do mnie słychać.

Obaczyła, żem ją dostrzegł; nie uśpiałem krzyknąć: ›Jezus!‹ — a ona już u nóg moich, i razem z Antkiem prosi i błaga.

Tak mi się w tej chwili na serce zebrało — o ile, że Antek był chłopak, jakich daj nam Boże! — tak mi ich głos aż do duszy dochodził, żem nie wytrzymał, krzyknąłem: ›Niech was Bóg błogosławi!‹ i rozbeczałem się jak dziecię.

Wieczorem hulaliśmy już na zrękowinach.

Dopiero-ż to było mojej dziwoty, gdy się wykryło: jak to ladaco, jedno z drugiem, kochało się skrycie; a bali się, bom harbuzami siał, aż miło, a Antek nie był jeszcze na swoim chlebie. Ale gdy majstrem został i warstat sporządził, to już wypadło z narady: natrzeć we dwa ognie, że kapitulacja była niechybna.

Tęgiż bo to był atak, choć żadne na wojaczkę nie chodziło! Kapitulowałem. Ale Bóg mi świadkiem, że i po spowiedzi nie było mi lepiej, jako wtedy, gdym ich szczęśliwych obaczył. A w nocy śnił mi się Krzysztof, i dziękował za opiekę nad jego dzieciną.‹

Stary westchnął, przeżegnawszy się nabożnie, a potem dalej mówił, dołożywszy drzew do ogniska.

— O Trzech Królach miało być wesele.

Rzuciłem się we wszystkie kąty; pościągałem zaległości, poruszyłem chowanych kilka groszy — ot, i sprzęgło się na siakie-takie wyposażenie, że dziecka nie oddam bosego; choć poczciwy Antek wziąłby ją, jak stoi, bo kochało chłopczysko, że nie wiedziałeś, jak mu się to tam pomieści w sercu. Co to panie — chłopak krwi uczciwej!

Szło tak jakoś; a jam się niby odrodził patrząc na szczęście mojej przepióreczki, co znów zdrowiem zakwitła i, jak ptaszę, piosenką wita, piosenką żegna słońce. Myślałem, że zamknę oczy szczęśliwy ich szczęściem — Bóg chciał inaczej. Dziej się Jego wola! (D. n.)

Korespondencje.

Paryż — *15. listopada 1868.*

Wracam — pisałem w przeszłym liście — wracam z pierwszego przedstawienia „*Mercadet*“ Balzaca w teatrze Francuzkim (*la Comédie Française*); wychodzę zdumiony olbrzymim „wszechstronnym, błyszczącym, talentem, jenjuszem nawet, tego szperacza po najskrytszych tajnikach serca ludzkiego, co się Balazac'iem nazywał.“ Dziś, o dni już kilkanaście od daty ostatniego mego listu oddalony, dotrzymując danej obietnicy i śląc wam sprawozdanie z wrażeń wówczas doznanych, dziś, te same słowa, tylko z większym, bo uzasadnionym rozwagą, zapałem, tylko z większą, bo pokrzepioną zdaniem drugich, w prawdę ich ufnością, powtórzyć muszę i powtarzam: Balzac, to świat cały! Mówić o nim, o dziełach jego, to mówić o wszystkiem, to mówić prawie o samym sobie; bo któż z nas siebie w którymkolwiek z tysiącznych mistrzowskiem piórem jego nakreślonych typów nie dotknął, nie poznał? Kto z nas, pocichu, palcem na znajomych pokazując, nazwisk im wyjętych z Balzaca nie nadawał? Balzac, to niezaprzeczenie: Schakespeare XIXgo wieku; równy mu zrozumieniem ludzi, wcieleniem się w te postacie, które na szerokiem niezmiernem płótnie „Ludzką komedją“ nazwanem, śmiałym swym pędzlem malował. Jak tamten w gmach swoich tragedyj i dramatów, tak ten w swoją „Ludzką komedję“ zamknął całą otaczającą go społeczność, wszystkie jej jasne i ciemne strony, nie wyłączając brudów i odmętów nawet. Jegoż to wina, że jest ich tak wiele? Jegoż to wina, że świat ten skarłowaciał? Jegoż to wina, że świat ten nie wart dramatu, ni epopei; ale drwiącej komedji tylko? że „król Lear“ stał się w nim takim „Ojcem Goriot?“ że ambicja niegdyś „Macbetha“ dziś w „Mercadet“ tylko o kiesce akcjonarjuszów marzy? że gdy tamtemu straszny duch „Banco“ temu do drzwi puka natrętny wierzyciel? Jegoż to wina, że dziś plemię „Julji i Romeów wygasło?“ a plemię „Pań Marneffe“ i „Baronów Hulat“ buja sobie roskosznie i śmiało? Nie! malując świat brzydszy, mniejszy, lichy, zbiedzony — on tymże wielkim przyświeca jenjuszem; on tak samo głęboko patrzy w nurty społeczne, jasno w nich widzi wszystko co oddycha, co się rusza, co pełza nawet; w mocnej swej piersi przeczuwa i odczuwa wszystkie bole, wszystkie wrzody swego wieku, aż te jakiemś arcydziełem z niej nie wystrzelą, aż się te w jakąś żywą, prawdziwą nie uosobią postać. „Ta potężna głowa“ przytaczam tu słowa Jules Janin: „Ta potężna głowa, była jakby jakąś hutą olbrzymią, jakby jakimś wulkanem, w którym wszystkie różnorodne rozhukane żywioły plac spotkania i harców sobie wyznaczając, ścierały się i spychały nawzajem.

W tym to niepojętym i nieźmiernym chaosie, pod wszechmocnym podmuchem natchnienia, wszystko: mężowie, kobiety i dzieci, panowie i nędzarze, margrabiny i galernicy, pastuchy i królowie, wiara, zwątpienie, żart i wszechwiedza — podawały sobie dłonie, plącząc się w jakieś pełne życia i fantazji, szalone i wdzięczne koła“. Ja dodam, tylko mniej wzniosłym, naturalnie, i mniej poetycznym językiem, że każda z tych wywołanych i w szalony taniec wplątanych postaci była sobą: margrabina margrabiną, król królem i pastuch pastuchem; że każdą, lub jak dwie krople wody do niej podobną, napotkać, wytknąć palcem można wszędzie, gdzie tylko rodzaj człowieczy rozpostarł swe panowanie i gdzie zatem: ambicja i chciwość, miłość i zazdrość, zemsta i nienawiść, koniecznie odegrywają swe role. Pomieścić w swej piersi wszystkie te różnorodne uczucia, bez względu na ich odcienie, na płeć, stanowisko społeczne, wykształcenie, narodowość nawet, osób niemi miotanych; potrafić być zarazem słabym rozkochanym ojcem jak „Pére Goriot“, skąpcem chciwym jak „Grandet“ libertynem, kobieciarzem, jak „baron Hulat“, spekulantem jak „Mercadet“ — upostaciować, mówię, te wszystkie uczucia, nie tak sobie, nie na żart; ale żywo, ale z bijącą w oczy prawdą — tego lada kto nie potrafi, tego wielkie nawet zkąd inąd talenta nie zdołają! By to uczynić, mało talentu; trzeba mieć jenjusz, trzeba mieć ten znak na czole, co mówi: „Idź i pokazuj ludziom ich samych, jakimi są, bez maski!“ Od czasu, do czasu, ludzkość, jakby chcąc poznać siebie, przypatrzyć się sobie, wydaje jednego takiego portreciarza swych wad i niedostatków, swych cierpień i boleści; malarze ci z różnych stanowisk na model

swój spoglądają; widzą go, to z śmiesznej tylko, to znów z żałosnej strony, śmieją się zeń, lub płaczą nad nim, malują szyderstwem, lub jękiem bolu, uśmiechem lub westchnieniem, łzą lub przycinkiem; lecz czyniąc jedno czy drugie, schodzą, źbiegają się z sobą, maczając swe pędzle w jednem, nieźmiennem, wiecznie nowem i wiecznie żywem źródle — w prawdzie.

Malarzem takim był Schakespeare. Wiek XVII. miał go w Molierze, wiek obecny — nie powiem: Francja, bo jenjusz zawsze i wszędzie jest kosmopolitą — ale cały świat wykształcony stracil takiego malarza w autorze „Mercadet" o którym mówić zamyślam, stracił w Balzacu.

„Mówić zamyślam!" Nie bój się, nie bój o trwożliwa a łatwo się nudząca publiczności, której krzyki zdaleka już słyszę; te słów kilka ogólnie o Balzacu i o utworach jego powiedzianych, pracy mi tutaj oszczędzą. Co się rzekło o całości dzieł tego mistrza, to, mówiąc o „Mercadet" dosłownie prawie powtórzyć można. Dramat ten bogaty prawdą, błyszczący dowcipem, co jak deszcz ognisty z każdej prawie sceny, z każdego frazesu wystrzela; dramat ten ostry jak satyra, ścisły, logiczny, jak tabliczka dodawania, lub mnożenia, w kilku słowach skreślić się pozwala.

Autor, by dowieść swego, by postawić nam przed oczy jedną z stron ujemnych, jeden z wrzodów epoki, nie używał wielkich sprężyn, nie szukał drażniących efektów... pisał tylko jak widział, jak jest, i utworzył arcydzieło. — „Mercadet" to typ u nas napozór nie znany, a rzeczywiście częściej niż się zdaje, choć nie w tej formie, choć pod inną maską, namacać się dający; typ spekulanta, giełdowicza, stojącego na tym skrajnym punkcie, po za którym według prawa, lecz według p r a w a tylko, oszustwo się zaczyna. Oszust już myślą, chęcią, zamiarem; lecz nie uczynkiem tylko. Póki się uczynku tego nie dopuści, póki nie przekroczy litery kodeksu, póty wolno mu głowę nosić do góry, póty wolno mu „u c z c i w y m!" się mianować, Zrujnowany kilku fałszywemi spekulacjami, obarczony długami, jak, mówiąc nawiasem, trzy czwarte naszych obywateli, wywija się przed ścigającą go zgrają wierzycieli, wywija się zgrabnie, z całą znajomością rzeczy, ze znajomością natury tych, z którymi ma do czynienia, i którymi, gdyby lalkami, obraca.

Wyrwać się z ich łakomych uścisków — tego mu jeszcze mało; tego mu nie dość; trzeba ich w swoje pochwycić, przyciągnąć, wyzyskać. „Jakto? W chwili, gdy mi się zdarza zręczność wzbogacenia jednym zamachem i pana i siebie, gdym już pierwsze potemu poczynił kroki, gdy mi brak czegoś tam, jakiejś bagateli, kilku czy kilkunastu tysięcy — Pan zamiast mi dopomódz, zamiast rękę do dzieła przyłożyć, pan mię prześladujesz, przeszkadzasz, zagradzasz drogę?" mówi jednemu z nich: „Córka moja idzie za milionera; jeszcze dni kilka, jeszcze kilka tysięcy na podtrzymanie tego zbytku, który mię otacza, a ludzi oszukuje — to wszystko ocalone, moja przyszłość i pańskie pieniądze!" — przemawia do drugiego. Trzeciemu jeszcze jakimś innym piaskiem zasypuje oczy... i trzóda cała wierzy, gnie się w ukłony, kieski swoje podsuwa... Lecz wszystko ma swe granice, cierpliwość i łatwowierność tych panów także. Zwykłe środki już wyczerpane, już im nikt wiary nie daje; trzeba więc uderzyć w wielki bęben, użyć wielkiego fortelu, (*frapper le grand coup*) lub wszystko stracone.

M e r c a d e t miał niegdyś wspólnika, niejakiego G o d e a u, który przed laty dziesięciu, z częścią wspólnego kapitału, do Indjów wyjechał, dla robienia tam majątku, i odtąd żadnej o sobie nie dawał wieści. M e r c a d e t w powrót jego nie wierzy, długie milczenie śmierci przypisuje, ale cóż to znaczy? gdyby i tak było, gdyby G o d e a u rzeczywiście nie żył, kiedy mu dzisiaj wskrzesić go potrzeba, kiedy trzeba mniemanym jego powrotem z niezliczonemi milionami, upadający kredyt, upadłą wiarę wierzycieli, podnieść i podtrzymać. Niejaki l a B r i v e godny pomocnik, godnego patrona, rolę mniemanego G o d e a u na siebie przyjmuje; wybiega, by najętą bryką pocztową, huczno i szumnie, obładowanemu trzosami i torbami, niby pełnemi bogactw wschodu, powrócić. Gdy się tam gdzieś przygotowaniami do tego *coup d'état* zabawia, gdy tam i owdzie pomiędzy wierzycielami słuchy o owym powrocie rozsiewa, powrót ten ma miejsce rzeczywiście. Prawdziwy G o d e a u ów Godeau myt, jak go M e r c a d e t nazywa, powraca z milionami i wynagradzając długie milczenie, przybycie swe zapłaceniem wszystkich kredytorów M e r c a d e t zwiastuje i zapowiada. Tłum się ich zbiega cały; ukłony, uściski, zapewnienia przyjaźni, gradem się sypią na naszego spekulanta. M e r c a d e t o niczem nie wie, tę zmianę w humorze wierzycieli zręcznie odegranej komedji przypisuje; powoli, powoli, widok podartych weksli, łzy żony, radość córki, otwierają mu oczy; rzuca się w ich objęcia, chwyta garść rozsypanych banknotów. „Bogaty jestem i uczciwy!" woła tryumfalnie, ostro! — Ironja i głęboki morał sztuki w tych czterech słowach leżą; „Uczciwy!" Zapewne! czegoż mu braknie? ktoż mu tego tytułu zaprzeczy? Ma uścisk dłoni zapłaconych wierzycieli, podarte weksle pod nogami, zwój banknotów w garści. „Uczciwy" Zapewne! opinja milczy przed brzękiem złota; kodeks prawny potępia tylko uczynki, nikt nie potępia sumienia!

A teraz w dramat ten cały najeżony cyframi, cały szeleszczący listami zastawnemi, wplączcie brzmiącą zcicha piosnkę uczucia, ładny romansik J u l j i córki M e r c a d e t i jego sekretarza młodego p. M i n a r d, co czasem, jak lekki powiew wietrzyka, przybiega chłodzić wasze natężone uwagą poznojone czoła; przedstawcie sobie cały przebieg dramatu, ożywiony mistrzowską grą aktorów; siłą waszej wyobraźni, stwórzcie w około olbrzymią salę, błyszczącą tysiącami świateł i przepychem strojów damskich; w sali tej źbierzcie wszystko, co Paryż posiada jaśniejącego sławą, lub miljonami — a będziecie mieli wieczór, jaki mi na pierwszem przedstawieniu M e r c a d e t w teatrze Francuzkim, przebyć było dano, i jakich wam wiele a wiele z całego serca życzę.

Na zakończenie dodam, że „Foyer" komedji Francuzkiej, mieszczący popiersia lub posągi wszystkich znakomitych dramaturgów Francji, a między innemi sławny posąg „Voltaire" dlutem „Houdona" rzeźbiony, wzbogaci się wkrótce i popiersiem Balzaca, i że „p. Michel Lowy" pierwszy księgarz wydawca tutejszy, przygotowuje nowe kompletne i wspaniałe wydanie dzieł autora „Ludzkiej komedji".

My w naszym języku mamy pono tłumaczenie jednej tylko „Macochy" i to dość nędzne przez p. Krystyna O s t r o w s k i e g o dokonane. Wartoby, by który z zdolniejszych i lepiej język polski znających pracowników, zajął się przyswojeniem choć kilku przynajmniej celniejszych utworów tego tu tak ogólnie wielbionego, a niezaprzeczenie głębokiego myśliciela i utalentowanego pisarza.

D i x i! A teraz nie chcąc dłużej nudzić szanownej publiczności i tak już do zbytku rozwałkowaną gawendą, nie mogąc jej służyć wreszcie żadną świeższą i ciekawszą nowinką, jak

chyba tą, że Rossini który był niebezpiecznie chorym, powraca do zdrowia choć nie do talentu, z jakim się już oddawna i zdaje się na zawsze pożegnał, i tą, że Patti, która scenę opuścić zamyśla, znalazła już pono sukcesorkę w niejakiej pannie Hauck Amerykance, rodem z Bostonu, czy też z Nowego Jorku, która wkrótce teatr włoski tutejszy debiutami swemi zaszczyci; nie mogąc, mówię, w całym Paryżu z przedmieściami, znaleść nic godniejszego waszej uwagi i waszego zajęcia, wolę list niniejszy zakończyć. *J. C.*

Paryż — *27. listopada 1868.*

Kiedy, czytelniku mój, zwiedzając Paryż, a idąc z biegiem Sekwany, ujrzysz na lewym jej brzegu, naprzeciwko olbrzymich murów starego Luwru, a niedaleko od miejsca, gdzie się rzeka na dwa rozdziela koryta, by utworzyć dwie wyspy, środkowy punkt niegdyś i zarodek całego miasta; kiedy, mówię czytelniku, ujrzysz tam wielki, w półkole się zataczający, a w zepsutym już stylu „Renaissance“ zbudowany gmach stary, na frontonie którego błyszczy nadpis: „Instytut narodowy Francji“ i data rok „1662“ — to, jeśliś łaskaw, stań na chwilę, a może starając się usilnie, zdołamy powiedzieć ci o nim słów kilka, które uwagę twą przyciągnąć, zajęcie twe rozbudzić potrafją.

A nie myśl łaskawco, bym w braku świeżych nowinek, stare ci jakie podsuwał baje; bym powierzonych mi tu kolumn parę, pierwszym lepszym z pyłów przeszłości otrząśniętym zapychał łachmanem. Przedmiot, o którym ci mówić będę, jest w całem znaczeniu tego słowa „na dobie,“ i ja śpiesząc z nim, wyprzedzam tylko dzienniki tutejsze, póki go te wkrótce może nie roztrąbią na cztery świata strony. Zanim jednak jaśniej wytłumaczę, co mianowicie w gmachu tym dzisiaj cię zajmować może, co go dzisiaj czyni przedmiotem „na dobie,“ jakom się sobie wyżej wyrazić pozwolił; zanim przystąpię do głównej treści mego listu, do skreślenia ci obecnego stanu tej, jak wszystkie ludzkie, pięknie poczętej, ładnie pomyślanej a z biegem czasu podupadłej i skarłowaciałej instytucji — nie od rzeczy będzie, przygotować nieco pole gawędy; nie od rzeczy będzie skreślić tu w słowach kilku pobieżny zarys historji narodzin i pierwszych chwil życia, tej zgrzybiałej już dzisiaj i strupieszałej staruszki. Początek jej sięga pierwszej połowy XVII. wieku. Kardynał Richelieu w roku 1635, uznawszy potrzebę zgromadzenia naukowego, któreby czuwało nad czystością języka ojczystego, pracowało nad nim, badało źródła jego i pierwiastki, położył kamień węgielny dzisiejszego instytutu fundując tak zwaną: „Akademję francuzką“ z 40 członków wolno obieralnych złożoną, która w gmachu stojącym obecnie, staraniem kardynała Mazarini, a według rysunków budowniczego Levau wzniesionym, siedlisko swoje obrała. Do początkowie 40 tylko członków liczącej a wyłącznie językowi ojczystemu poświęconej akademji, Colbert za panowania Ludwika XIV., przyłączył stopniowo trzy inne, również jak pierwsza po 40 członków każda liczące akademje: „Archeologji“ w roku 1660, „Nauk ścisłych“ w roku 1666 i „Sztuk pięknych“ w roku 1671. Rzeczpospolita francuzka w roku 1795 do czterech w spadku po monarchji odebranych, dodała piątą „Nauk moralnych i politycznych“ i wszystkie pięć w jedną całość zgromadzone, nazwała: „Instytutem narodowym Francji“ jaki po dziś dzień ekzystuje i jaki się teraz, a mianowicie najpoważniejsza i najstarsza z pięciu składowych jego części „Akademja francuzka,“ do wyboru nowego członka na miejsca zmarłego przed kilku miesiącami pana Viennet, przygotowuje i zabiera.

Świetnemi i pełnemi powabów były pierwsze chwile zakładu. Ów piękny język jakim Francja w złotym wieku swych dziejów i swej literatury przemawiała, ów język, jaki nas dzisiaj jeszcze zachwyca w tragedjach Racin'a i Corneill'a, w kazaniach Bossuet'a i Massillon'a, ów język tak dźwięczny i harmonijny, tak pełen giętkości i okrągłych zwrotów, tak jasny i dobitny i tak poetyczny zarazem — zawdzięczonym być winien pracom akademji, która do grona swego zaprosiła, w krzesłach swych usadowiła, zaszczytami swemi obsypała wszystkich tych, którzy w jakiej by to nie było gałęzi nauk lub sztuk pięknych imie swe, i z niem razem imie swego narodu wsławić potrafili. Nie piszę tu dziejów akademji; nie potrzebuję zatem szeroko się rozgadywać. Ciekawszych odsyłam do pierwszej lepszej encyklopedji, gdzie łatwo i nie zadając sobie wiele pracy, następne, że tu tylko wybitniejszych kilka powtórzę w całym cywilizowanym świecie znane i szanowane znajdą imiona: Buffon, Lacépède, Labruyére, Voltaire, Lebrun, Puget fotele instytutu zasiadali, czyniąc zeń areopag, jakby trybunał najwyższy wszystkich nauk i sztuk wszystkich, wszechstronnej ludzkiej wiedzy.

„Co było, to nie jest“ powiada przysłowie. Dwieście lat przeleciało nad Francją i nad Paryżem, dwieście lat przeplatanych nie jedną burzą i niejednym krwi potopem — gmach instytutu stoi jak dawniej, jak dawniej patrzy w nurty Sekwany, jak dawniej mieści w sobie dwieście fotelów; fotele te jak dawniej dźwigają dwustu „Nieśmiertelnych;“ ale tyleż tego! serja podobieństw tutaj się kończy. „Nieśmiertelni“ dzisiejsi czytelniku, powiem ci to na ucho, pewny że mej tajemnicy nie zdradzisz — nieśmiertelni dzisiejsi, rozumie się nie wszyscy, nie ma przecież reguły bez wyjątków, umierają zbyt często, umierają na dobre, wraz z tym co napisali, śladu przejścia, nie zostawiając po sobie. Nieśmiertelni dzisiejsi, piszą wprawdzie i drukują wiele, tysiące tomów, noszące długie i szumne tytuły; ale któż je czyta? Setna część ich zaledwie wieku przyszłego dożyje, resztę zgryzą szczury biblioteczne, lub kramarze na obwijanie pakunków zużyją. Tak jest dzisiaj i jakże inaczej być może? Ciche pole umysłowej pracy, instytucja ściśle naukowa, z biegiem czasu, stała się areną politycznych bojów. Dziś, by być wybranym, by zasiadać jeden z dwiestu foteli, nie dość mieć talent, jenjusz nic potem! trzeba przekonania swe polityczne nagjąć pod formułkę większości; trzeba być Orleanistą, Imperjalistą, Klerykałem—stosownie do tego która z tych opinij więcej liczy wyznawców, która liczebnie przemaga, od której zatem rezultat wyborów zależy. Wyborcy patrzą nie na dzieła kandydata, a w jego duszę: czy się tam w niej, gdzie w kątku, czerwony upior republikanizmu nie przyczaił?... Wyborcy od kandydata, nie jasnych a potężnych pomysłów, ale świadectwa dobrego prowadzenia się, a prawie świadectwa, że się spowiada i komunikuje, a na barykadach nie bywa, żądają.

Gdybyż tu już był koniec ujemnych stron, koniec cieniów, jakie dziś ten jasny, niegdyś zakład pokrywają... Ale gdzie tam. Ot patrzcie! Wybory! Wybory! kandydatów jak zwykle dużo! pretensji chmura; wiele krzyku, wiele skarg, narzekań nie mało; ambicja krzyczy, pycha się przechwala, istotna wartość najczęściej milczy, pewna, że wcześniej lub później, w krześle akademickiem, lub zdala od niego zarobi na uznanie. Na kilka

już tygodni, miesięcy nawet, przed dniem stanowczym bileciki krążą, wizyty się oddają, prośby zanoszą; wszystkie sprężyny, wszystkie kółka w ruchu; pochlebstwo, prośba, groźba, każden oręż dobry, każden użyty. Kto ma więcej protektorów, ten pewniejszy wybranej! i często, zbyt często niestety, gdy godzina wyborów uderzy, białe gałki, mijając zasłużonego, zbiegają się ku temu, co więcej się kłaniał, niż myślał, więcej miał przyjaciół, niż talentu.

By udowodnić prawdę tego, co tu powiadam, dość mi przeprowadzić linję porównawczą między członkami instytutu, a tymi, którzy na ten honor zasłużyć nie mogli, lub nie mogą. Dość mi wymienić, że Balzac, Beranger, Lammenais nie byli wybranymi, że Louis Blanc, Edgar Quinet, Michelet, Dumas ojciec, syn nimi nie są; że Victor Hugo kilkanaście razy do szczelnie dlań zamkniętych drzwi akademji pukał, zanim mu te nakoniec otworzonemi zostały; a że przeciwnie, na liście jej członków błyszczą imiona, bardzo sobie może poczciwych, potulnych i legalnie myślących ludzi; ale o których chyba tylko ich parafja słyszeć mogła: płaskich wierszokletów, lichych dramaturgów, nie widzących dalej, jak koniec nosa, filozofów i uczonych. Panowie Doucet, Laprade, Autran, Patin i t. d., i t. d. Dajmy temu pokój, któżby ich tam zliczyć potrafił? Smutna to i trudna do wyleczenia choroba! Tłum cały miernostek, raz wlazłszy na te kurulskie wszechwiedzy krzesła, już prawdziwej wyższości na nie nie dopuści, bo się jej boi i wstydzi, i gdy powoli, powoli jedna po drugiej, zgasną i tak już nieliczne gwiazdy piękniejszego wczoraj: Berryer,*) Thiers, Mignet, gdy przemoc gawiedzi, dziś jeszcze wpływem tych kilku wielkich talentów neutralizowana, żadnej już przed sobą nie poczuje zapory, to wówczas co? Proroctwo łatwe: Instytut, niepotrzebny dom przytułku parafialnych znakomitości, dwiestu sław niedojrzałych i poronionych stanie się do reszty karykaturą i pośmiewiskiem przyszłych pokoleń, upaść będzie musiał i bezwątpienia upadnie.

Ale póki jeszcze ta ostatnia nie wybiła dlań godzina, póki jeszcze zielone palmy na kołnierzu (mundur akademików) do ostatka jeszcze nie spowszechniały i nie zaszargały się w miernocie, póki jeszcze nęcą i wabią tłumy kandydatów — póty dzień nowych wyborów jest dla całego czytającego Paryża, dniem zajęcia i ciekawości, dniem domysłów i oczekiwania.

Na miejsce zmarłego przed kilku miesiącami p. Viennet z ciżby pretendentów, trzech pp. Theophile Gautier, Jules Lacroix i Duvergier de Hauranne mają najwięcej szans. Trudno jednak odgadnąć i przewidzieć, któren z nich ostatecznie ukoronowanym zostanie. Co do mnie, co do mej osobistej opinji, to powiem, że jakkolwiek sercem mem skłaniam się ku drugiemu, ku p. Lacroix, który jako żonaty z Polką (hr. Rzewuską) jako z zacnego charakteru swego dobrze mi znany, nie może nie wzbudzać we mnie pewnych sympatyj... jakkolwiek oddaję słuszny hołd jego talentowi, jaki się szczególnie w tłumaczeniu tragedji Sofoklesa (król Edyp) w dość błyszczący sposób przejawił — jednakże, gdyby mi głosować przyszło, to dałbym głos mój nie jemu, a p. Gautier, który jeden sprawiedliwie na godność akademika zasługuje; jeden prawdziwą oryginalnością i samoistnością swych utworów, nad poziom codziennych talentów się wzbija; jeden jest czemś, coś przedstawia i coś jako pisarz znaczy. Poemat jego „*La comédie de la mort*“ doprawdy wiele ładnych, dobrze pomyślanych i do myślenia dających kartek, zawiera. O trzecim o p. Duvergier de Hauranne cóż powiedzieć można? Ten zdaje się prócz tego, że jest przyjacielem p. Guizot innych tytułów do nieśmiertelności nie posiada; a jednak zobaczycie, albo bardzo się mylę, albo to jego właśnie nie dalekie jutro tryumfatorem ogłosi. Inaczej być nie może, to z porządku rzeczy wypływa „ręka rękę myje“ powiada przysłowie, które tutaj na następne „zero szuka zera“ przerobić można.

Ale dajmy już pokój i akademji i jej zapleśniałym statutom i jej coraz to śmieszniejszym wyborom. Czytelnik się marszczy, czytelniczka niecierpliwi... pora by, pora pomówić o czemś żywszem i weselszem trochę.

Ale gdzietam! Nie tak to łatwo jak się wydaje. Nie wiem dla czego listu mego na żałobnym papierze pisać nie zacząłem, kiedy mi w nim od jednej śmierci do drugiej, od śmierci moralnej do fizycznej wędrować przychodzi.

Śmierć! śmierć! O, ta czarna jejmość sutą tylko co sobie w murach Paryża wyprawiła ucztę, i łakoma i wybredna jakie smaczne dobierała kąski! W przeciągu dni kilku trzy, każda w swoim rodzaju, wybitne osobistości: Havin redaktor dziennika „Siécle,“ Rossini autor tylu arcydzieł i James Rotschild posiadacz tylu mjljonów — położyło się do grobu; dwie Lamartine i Berryer członkowie akademji (więc nowy wkrótce wakans) nad nim się pochyliło; o wszystkich pięciu, a przynajmniej tymczasem o trzech pierwszych pomówić by trzeba. Havin szef jednego z najpotężniejszych organów publicystyki Francuzkiej, członek opozycji w ciele prawodawczem, wielki przyjaciel Polaków, a co główna powszechnie lubiany i poważany człowiek najpierwsze tutaj będzie miał miejsce. Była to osobistość poczciwych chęci i zacniejszego serca, niźli potężnej głowy i wielkiego talentu. W Izbie mowca nie tęgi; więcej milczał jak perorował; głosem tylko i wpływem, dążenia swej partji popierając, w dzienniku swym nie wybredny, przeprowadzał piękne pomysły, szlachetne zamiary, mniej na ich zewnętrzną szatę, na literacki dobór artykułów oględny.

W dzienniku swym, organie klas przemysłowych i roboczych, odważnie się pod sztandarem wolności szykując, ujadał się z partją rządową, ujadał się z partją klerykalną, temi dwoma wręcz wszelkiej wolności przeciwnemi potęgami. Za nie jedne poczciwe słowo w imieniu sprawy naszej powiedziane, za nie jedną składkę w szpaltach dziennika na biednych wygnańców otwartą, cześć mu i wdzięczność od nas się należy. Niech więc tych kilka słów, prosto a szczerze powiedzianych, wynagrodzą dziwne zapomnienie emigracji Polskiej w Paryżu mieszkającej, która mówiąc tak często i tak niepotrzebnie, tutaj teraz, na wygłoszenie choć kilku słów nad tą poczciwą mogiłą zdobyć się nie potrafiła.

Z kolei idzie Rossini. Któż o tym mistrzu harmonji nie słyszał? kto się cudnemi arcydziełami jego, że tylko „Wilhelma Tella“ i „Cyrulika“ tu wymienię, nie zachwycał? O życiu więc jego publicznem nie mam nic do powiedzenia, zna je każdy; inaczej się rzecz ma z życiem prywatnem. My ludzie drobni, skłonni jesteśmy, wielkich z pięknej, tylko jasnej strony dzieł ich znanych nam mężów, równie sobie jasnymi i wielkimi wszędzie i zawsze wyobrażać. Niestety! zbyt często mylić się nam przychodzi. Mimowolnie na myśl mi nabiega tytuł jednego

*) Już umarł. Prz. red.

z romansów Aleksandra Dumas ojca „Wielcy ludzie w szlafrokach“. Dobrze pomyślany, nie głupi tytuł (romansu nie pamiętam). O gdyby to wszystkie znakomitości, wszystkie sławy w ich szlafrokach, to jest bez maski, ot tak sobie, po domowemu, widzianemi być mogły! Wiele by to z nich pobladło!... wiele by to z nich widzom taką z fałszywych przyborów rozebraną, starą i brzydką ukazało się kokietą? Sypialnia nie jednego wielkiego męża, co to za ciekawe i nauczające być musi widowisko! Co tam w niej po puszkach i słoikach sztucznych a na dzień, na pokaz, dla ludzi, używanych mamideł! pięknie brzmiących frazesów na przykrycie brzydkich myśli; głęboko pomyślanych formułek, na zatkanie nie jednej pustej a grobowym chłodem ziejącej przepaści w chciwością tylko drgającem sercu!... Poco ja to wszystko piszę?... Naco? Dla czego? Ot tak sobie, niby dla powiedzenia, że Rossini w życiu swem prywatnem wcale do ideału dźwiękami w duszy słuchacza stworzonego podobnym nie bywał; że go języki ludzkie chciwym skąpcem, egoistą nie czułym i złym być mieniły, że... pocóż tu słów tyle? można było to samo krótko opowiedzieć, można było szczególnie pamiętać na tę piękną i prawdziwie chrześcjańską zasadę, „O umarłym mów dobrze lub nie mów nic wcale“ Racja!

Pisałbym o trzecim nieboszczyku o baronie „Rotschild“ zacnym, jak powiadają, i hojnym dla biednych bogaczu; ale mi papieru na zliczenie milionów jego nie stanie. Ale kiedy to piszę, mówią mi że Mazzini umiera... że tam znów jakiś wielki człowiek kona, że tam trzeci dogorywa. Więc się boję. Może to jaki fatalizm do mego listu przywiązany, tyle razem znakomistości uśmierca? A nuż wymrą co do nogi! A nuż sami, bez nich zostaniemy! Na Boga! Nie chcę! Rzucam pióro, i dalej z nim, precz do Lwowa mój list posyłam... *J. C.*

BIBLIOGRAFJA POLSKA

podawana przez księgarnię Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie.

Dyetetyka dzieci oparta na wskazówkach przyrody. Przewodnik w zdrowem pielęgnowaniu dzieci od przyjścia na świat aż do dojrzenia. Skreślony przez przyjaciela dzieci (lekarza). 8wo (XIII. i 150 str.). Lwów 1869 . . . 1 zł. 15 ct.

Elementarz (krótki) do samouctwa w pisaniu, czytaniu i liczbowaniu. (16 str.). Paryż 1868 . . . — „ — „

Godebski, X. Obraz Polski pod koniec XVIII. wieku. Ze zbioru podróży, ogłoszonych w Handve 1705 r. Spolszczone. 8wo (47 str.). Lwów 1869 . — „ 30 „

„ Reformy społeczne w Polsce pod koniec XVIII. wieku. 8wo (29 str.). Lwów 1868 . — „ 30 „

Horoszkiewicz, J. Listy o rzeczach publicznych dla ludu. Część II. 8wo (129 str.). Lwów 1868 . . — „ 50 „

Komorowski, Bronisław. Rejtan, tragedja historyczna w pięciu aktach. 8wo (98 str.). Lwów 1869 . . 1 „ 12 „

Marlitt'a, E. Złota Elżusia. Powieść społczesna. 8wo (282 str.). Warszawa 1868 . . . . . . 2 „ 16 „

Mickiewicz, Adam. Dzieła. Tom IV. Wydanie zupełne, przez dzieci autora dokonane. 8wo (370 str.). Paryż 1868 . . . . 2 „ 10 „

Mocnik, F. dr. Początki geometrji. Z siódmego wydania niemieckiego na język polski przełożył T. Sternal. Oddział I. Wydanie II. 8wo (V. i 101 str.). Lwów 1869 . . . . . . — „ 60 „

Nałęcz, A. Góral. Powieść społeczna. 8wo (160 str.). Lwów 1869 . . . . 1 „ 50 „

Pol, W. Powódź. Dramat w trzech aktach wierszem. 8wo (147 str.). Poznań 1868 . . . 2 zł. 70 ct.

Poliński, J. Nauka stenografji polskiej do użytku szkolnego. 8wo (35 i 28 str.). Lwów 1868 . . 1 „ — „

Siemieński, Łucjan. Portrety literackie. Tom III. zawiera: Żywot St. Trębickiego, Fr. Wężyka, And. Edw. Koźmiana, Konst. Gaszyńskiego i Obóz klasyków. 8wo (410 str.). Poznań 1868 . . 2 „ 40 „

Wniosek posła Franciszka Smolki postawiony w sejmie w r. 1868 i mowy jego miane z tego powodu. 8wo (57 str.). Lwów 1868 . . . . — „ 50 „

La France, la Pologne et la Prince Napoléon Bonaparte. 8wo (140 str.). Bruxelles 1868 . . . — „ 90 „

Kalendarz domowy na rok 1869. 8wo (74 str.). Kraków . — „ 25 „

„ gospodarski (informacyjny) z dodatkiem konotatnika na wszystkie dnie w roku 1869. Rok II. 8wo (361 str., oprawny w płótno angielskie). Kraków . . . . 1 „ 25 „

„ krakowski na rok 1869. J. Czecha. 4to. Kraków. — „ 42 „

„ powszechny galicyjski na rok zwyczajny 1869. 4to. Lwów . . . . . . — „ 40 „

„ powszechny ilustrowany dla wszystkich stanów na rok 1869. 8wo (46 str.). Kraków . . — „ 25 „

„ dla rodzin katolickich na rok 1869. 8wo (132 str). Kraków . . . . . . — „ 50 „

Krakus. Kalendarz ludowy na rok 1869. 8wo (119 str.) Kraków . . . . — „ 36 „

Haliczanin i Chochlika Noworocznik humorystyczny — kalendarz ilustrowany firmy Pillerów na rok 1869 . — „ 50 „

Piast, kalendarz na rok pański 1869. 4to. Lwów . . — „ 40 „

Rozmaitości.

†

W Poznaniu dnia 1. grudnia umarł **Hipolit Cegielski**, mąż prawy, człowiek dobry i wielkich zasług patrjota. Zmarłemu wiele zawdzięcza Wielkie Księstwo Poznańskie.

Cześć jego pamięci!

* Warunkiem życia jest ruch, czynność; — bez tego będzie ono: wegetacją tylko.

Stosując to prawo do naszych księgarń lwowskich — wegetujących naliczymy większość; czynnych, żyjących zaledwie parę; a w tej liczbie widne zajmuje miejsce nowopowstała w naszem mieście księgarnia Gubrynowicza i Schmidta, rozwijająca energję, która dobrze wróży o jej przyszłości.

W dziejach księgarstwa, usiłowania pp. Gubrynowicza i Schmidta nie przejdą niepostrzeżenie; a są one, jak na czynność zaczątkową, znaczne. Młoda firma odrazu stanęła w księgarstwie jako przedsiębiorstwo nie jednodniowe; lecz z charakterem trwałości.

Zaopatrzona we wszystko księgarnia, zrozumiała, że nie kramarstwo jest jej celem: że na księgarstwie leżą obowiązki wyższe nad sprzedaż książek; że ono ma być pomocą, podporą usiłowań pracowników, dążących do podniesienia się literatury, do jej rozkwitu i zajęcia przynależnego sobie miejsca w wielkiej rodzinie ogólnie ludzkich literatur; że ma być jeszcze i wydawnictwem. Toż widzimy, że na tem polu zbawiennych dla ogółu działalności, pokłada nowa firma zasługi, które jej dobrze zasłużony rozgłos i wziętość zapewnią. Pominąwszy dość liczne nakłady komisowe, księgarnia pp. Gubrynowicza i Schmidta pierwszą swą spojnię z narodem utrwala własnemi wydawnictwy, dając mu jedną z najlepszych książek polskich do nabożeństwa Hoffmanowej, nową powieść Bolesławity p. t. *Hybrydy*, wydając rzecz ściśle naukową, jak P. Stachurskiego *Uwagi nad tłumaczeniem latopisu Nestora*; wydając swój katalog dzieł pożytecznych w życiu praktycznem; a wreszcie niosąc młodemu pokoleniu cenny podarunnk, w książce prawdziwie patrjotycznej, bo za cel swój mającej: *narodowe wychowanie przy-*

szłych obywateli kraju. Najlepszą pochwałą świeżo wydanego ***Abecadlnika historycznego***, *Kazimierza Góralczyka,* z pięknemi obrazkami p. Lerue — jest sama książka, której układ i obrobienie, w swoim rodzaju, nie pozostawia nic do życzenia.

Piękną tę książeczkę polecić możemy rodzicom, w tem przekonaniu, że jeśli zdania w niej wypowiedziane przejdą w młode umysły — przyszłość nasza będzie zapewnioną! Najbardziej zaś życzyć należy, by utrwaliło się pomiędzy nami przekonanie zawarte w otatnim ustępie, który brzmi:

Zmywasz grzech ojców, szlachecki synie,
W krwi strugach... Próżne staranie!
Póki lud wszelki w jedno nie spłynie
Ojczyzna z martwych nie wstanie!...

A doprawdy, lepiej tych kilku słów, polecających książkę, zakończyć nie możemy, jak własnemi jej słowami:

Bóg, odwaga i wytrwanie —
A ojczyzna zmartwychwstanie!

• *Wojna z kuzynkiem* komedja p. A. Urbańskiego, została przedstawioną z powodzeniem. Autora wywołano.

• Poszukiwania za potażem w Wieliczce stały się przyczyną prawdziwej klęski. Trafiono na żyłę wody, która zalewa saliny. Klęska, jeśli się jej zapobiedz nie uda, może sprowadzić okropne następstwa. Jest jednak nadzieja, że otwór uda się zatamować.

• Pismo czeskie „Blanik“ wydawane w Berlinie przez p. Fricza, zakazane zostało w całem państwie austrjackiem.

• W pałacu kanclerza br. Beusta we Wiedniu popełniono kradzież w nocy 22. zm. Złodziej zabrał ordery p. kanclerza w wartości 1000 zł.

• W Bydgoszczy nakładem księgarni T. Sniegockiego wyszedł utwór dramatyczny p. t. *Oryl*, komedja z przedmieścia ze śpiewem w jednym akcie.

• Antoni Rubinstein, najsławniejszy obecnie pjanista, którego wkrótce usłyszymy we Lwowie, urodził się w roku 1829 w wiosce pod Jasami; doszedłszy lat chłopięcych przeniósł się z matką, która mu udzielała pierwszych początków na fortepianie, do Moskwy; lecz już w roku 1839 pojechał do Paryża. Liszt, usłyszawszy grę chłopca, zajmował się nim żywo i pod jego okiem młodziutki Rubinstein studjował tak gorliwie, że już w 12 roku mógł pierwszą odbyć podróż artystyczną do Anglji, Holandji, Szwecji i Niemiec. Później pobierał od Dehna w Berlinie naukę o kompozycji, już atoli dawniej był wydał kilka dzieł muzycznych. Z Berlina udał się w roku 1846 do Wiednia, bawił tam dwa lata, poczem powołała go wielka księżna Helena do Petersburga jako wirtuozę nadwornego. W tym czasie wydał cały szereg kompozycyj dla orkiestry, utwory różnej treści na fortepian, na instrumenta rznięte i t. d. Wysoką sławę jako pjanista pozyskał mianowicie przez podróż artystyczną, którą odbył w roku 1854 po Europie. W roku 1862 został mianowany dyrektorem założonego przezeń konsewatorjum w Petersburgu. Urząd ten jednakże tylko dwa lata piastował. Obecnie znów podróżuje po Europie.

• Korespondent „Dzien. Pozn.“, donosi o trzęsieniu ziemi w Ameryce następujące szczegóły. Trzęsienia ziemi, trwające jedną lub dwie chwile, nie są rzadkim fenomenem; często bardzo przechodzą nie spostrzeżone przez masę ludności, a nawet w Polsce się zdarzają. W ogóle stary kontynent zdaje się teraz posiadać grubszą skorupę wystygłej ziemi. Jakkolwiekbądź śladów tak dawnych gorzelisk jak przewrotów i tu nie braknie, dowodzących jasno bytu przed laty gęsto posianych buchających ogniem i lawą wulkanów, owych niby przeduchów wiecznie trwającego wedle geologów ognia w głębiach kuli naszej. Nie zapomniały dzieje owych katastrof, co pochłonęły biblijną Sodomę — lub wiele lat późniejsze zniszczenie Pompei i Herculanum, ani owej zmiany postaci Syryi w VI. wieku, lub ruiny Lizbony z roku 1755, kiedy 60.000 ludzi w 6 minutach jeden grób pochłonął, lub na początku naszego stuleciu owej przemiany całej doliny, Mississipi, i 1812 roku przeistoczenia postaci okolic Caracas; wiadome są owe podniesienia całych traktów ziemi jak roku 1583 brzegów Puzzuoli na 20 stóp, lub 1819 w Indyach 50 mil kwadratowych w Kuczu krainie na stóp 10 na zwykły do tych lat poziom; zaś 1822 r. sto mil koło Valparaizo na 7 stóp wyżej niż dawniej — wzniosłszy się i teraz tak pozostają. Wybuchy Wezuwiusza i trzęsienie ziemi w Neapolu r. 1857, w Ameryce naznaczyły tejże samej chwili wszystkie igły magnesowe gwałtownem drzeniem; dewiacją i innercją zupełną na jakiś czas potem. Ale te klęski wszystkie, jakkolwiek potężne — okropniejsze może dla człowieka, nie były ani tak rozległe, ani tak długo trwające, jak te, co w bieżącym roku nawiedziły Południowej Ameryki brzegi zachodnie, na przestrzeni 2500 mil przez trzy dni prawie ciągle. Od 13 do 16 sierpnia nadbrzeże Chili mniej, Peru i Eqaudor dużo więcej doświadczały trzęsienia wraz z napływem bałwanów od morza. Morze li rozhukane, samo jedno mniej więcej dało uczuć skutki gniewów swoich na brzegach N. Grenady, Środkowej Ameryki, Kalifornii, wysp Sandwich a nawet w Japonji.

Dziwna też to jest formacja lądów Ameryki, dotykających spokojnego Oceanu, bogate w urocze położenia, wiszą ledwo tylkó skrajem nad morzem. Nadbrzeża te bowiem nigdzie 100 mil angielskich nie zalegają między szczytami niebotycznych gór a głębokiemi pacyfiku wodami. Góry owszem poniżej Chili zdają się tonąć w Oceanie, gdy ku Berynga cieśninie biegąc, zaledwo zostawiają smugę kilka wiorst szeroką, kończąc swój łańcuch wulkanem św. Eliasza, kędy, jakby się rozdarły na dwie przeciwbiegłe gałęzie; jedne idąc na lewo ku zachodowi, formują szereg Aleutskich wysp, grupę niedostępnych prawie, jałowych, wiecznie w chmurach dymiących się zatopionych wulkanów. Ku wschodowi zaś drugą gałęzią gubiąc się w śnieżnych, nieznanych nam pustyniach nie dawno przedanego raju Katkowów i Gołosu, łaskawie dawanego sprawosławionym Lachom!

Pasmo owe gór południowej Ameryki, skupione w jeden łańcuch, zbliżając się ku Karaibskiemu morzu, rozdziela się na trzy główne ramiona, jednem jeno wciska się do Środkowej Ameryki formując sobą przesmyk Panama, i tak prześlizgnięty rozsypuje się na liczne gałęzie w Nikaragua, Guatimalu i Meksyko, aż znowu sformuje łańcuch Rocky Monutaina z ramienia naprzód, zwanem Sierra Nevada, a dalej ku byłej moskiewskiej kolonii, jakby przez ironią „Dobrej Pogody“, przezwanem.

Południowe góry, więcej znane pod imieniem Kordilierów, właściwiej i rozleglej noszą nazwę Andes, najeżone są wulkanami. Żeglarz, lawirując na brzegach Oceanu Spokojnego, co noc licznie świecące się wierzchołki bierze za wskazówkę w podróży swojej. W niektórych miejscach aż pięć ich gore razem w jednej kupie. Inne znowu, szczególniej w Peru, wznoszą swe wierzchołki precz wysoko po nad wieczne śniegi. Chili, Peru, Equador, Nowa Grenada itd. rok rocznie doświadczają trzęsień ziemi, lecz klęski, jakie mu ten raz towarzyszyły, ani były tak rozległe ani dotkliwie powszechne.

Dnia 13. sierpnia o godzinie 5. po południu między 3 a 20 miasta Peru: Arequipa, Chala, Tacha, Arica, Iqu'que — liczące po 20.000 do 50.000 mieszkańców, i im przyległe wsie, na raz usłyszały podziemny łoskot, wkrótce nastąpione chwianie się, niby drzenie ziemi. Domy, pałace, świątynie, magazyny, fabryki, zakłady, drogi żelazne i porty — wszystko leży albo w gruzach, albo zniszczone bez śladu.

Ostrzegające znaki tego fenomenu, były już widziane dnia 1. sierpnia w Limma; poczuwano tam pewne kołysanie się ziemi od północy ku morzu, widziano na niebie światła zwrotnikowe — pierwsze było zapewne łączeniem mniejszych mas podziemnych min, drugie łuną gorejących wulkanów w nieznanych miejscowościach.

W Equador mniej dotąd naliczono strat i szkód. Guayaquil ucierpiało od fali wezbranych oceanu, w Quito trzęsienie nastąpiło w 55 godzin i 40 minut (16. sierpnia o godzinie 1. po północy), wywróciło wiele domów, ale więcej uszkodziło tylko, wprawdzie prędkiej wymagających naprawy.

Arequipa, jedno z większych miast wewnątrz Peru, odległe 50 mil angielskich od morza, a 12 tylko od wulkanu, tegoż samego nazwiska, 20.000 stóp wysokiego, liczące z okładem 35.000 mieszkańców, pięknie zabudowane i bardzo zamożne, zostało zupełnie zniszczone. Mieszkańcy tutejsi, słysząc łoskot podziemny, rzucili się co tchu na ulice, place lub za miasto. Kto się znalazł na otwartem miejscu ustać nie mógł na nogach, tak trzęsienie i chwianie się ziemi było silne. Dziewiętnaście podobnych prób się powtórzyło w ciągu nocy. Ziemia w licznych miejscach rozstępywała się — to znowu się zamykała, a każdą razą wyziewała albo błotem albo kurzem, albo duszącemi gazy. Wulkanu zaś otworzył się bok jeden, i rzucał aż do miasta prawie żużle, popiół i zabójcze dymy. Nieraz powietrze tak było przepełnione tym chaosem burzy, że człek człeka obok stojącego widzieć nie mógł. Woda w cisternach — jedyne źródło napoju miejscowych, szczerniała jak węgiel i nabrała smaku niepodobnego do użycia.

W Ikike (Iquique), najbogatszym i najludniejszym porcie południowego Peru, położonym pod 20° szerokości połud., zaledwo podziemny łoskot dał się słyszeć, mieszkańcy nie tracili chwili i biegli ku górnym otwartszym miejscom miasta. Tkwiła bowiem w ich pamięci straszna klęska nadmorskiego Calao, kędy 5.000 szukających schronienia nad portem od trzęsienia ziemi bałwan z morza rzucony nagle odrazu pochłonął. I przezorność w Ikike była nader szczęśliwą. Miasto straciło 300 do 500 ludzi tylko, acz

po pierwszem wstrząśnieniu zaraz — pędem błyskawicy wody morskie ustąpiły na 200 sążni od brzegów, i z większą szybkością rzuciły się na ląd ścianą 60 stóp wysoką wody. Takowy prąd wszystko uniósł, wszystko do reszty zniszczył, co jeszcze z miasta mogło pozostać. Fabryka nitratu, zaledwo drugi dzień w ruch puszczona, składy celne, kościoły — śladu nie zostawiły za sobą. Konsul angielski zginął z całą prawie familją, mnóstwo urzędników, u swego stanowiska jeszcze może o ratunku obmyślających, padło ofiarą służby. Port znikł zupełnie — czy przybrał inne formy — ale nikt nie może doń zbliżyć się z morza, i nie śmie z lądu przypatrywać się, taki mąt, wrzenie i kołysanie się w wodach oceanu się dzieje. Trzynaście wstrząśnień jeszcze naliczono po ustąpieniu fali morskiej.

Łatwo wyobrazić sobie, jak ta fala była wielką, silną i jakich rozmiarów, kiedy na tak wielkiej przestrzeni, jaka zalega ocean Spokojny — uczuto ją w San Francisco, w Kalifornii, w Honolulu, na wyspach Sandwich, a nawet w Japonii.

Podobnego losu miasta Ikike doświadczyła Arica. Z pięciu okrętów, tu stojących na kotwicy, żaden nie ocalał i nikt nie został żywy, coby ostatnie klęski opowiadał. Parowiec tylko Zjednoczonych Stanów „Wateree", acz go fala zaniosła głęboko w ląd i zostawiła przeszło o milę od brzegu, na miejscu świeżo bitej żelaznej drogi — stracił jednego majtka. „Wateree" jest naturalnie zupełnie straconym — jeno jego przyrządy, ekwipaż i zapasy mogą być zebrane. Inny statek Zjednoczonych Stanów przewozowy „Iredonia", bałwan przewrócił dnem do góry. Szkody komory Arica wynoszą 16,000.000 złotych, „Iredoni" zaś 12,000.000 złotych.

Miasto Chalas, leżące na pół drogi między Calao a Ikike, doświadczając przez 45 minut ciągłego trzęsienia i podobnego fali morskiej napływu — znikło zupełnie — owszem woda urwała 1000 kroków lądu w porcie i dała inną postać okolicy.

Miasteczka Tambo, Tiabaga, Victor, Moliendo, Mejia, wszystkie, wsi, haciendy na 150 mil po obu stronach Arequipa znikły z mieszkańcami. Podobnego losu doświadczyły miasteczka Tacna, Sama, Lecomba i Lluta; w okolicach tych, w wielu miejscach z otwartych szpar rzucał się ukrop wrzącej wody — i zalewał i niszczył przyległe roślinności. Składy i zapasy dla przyszłych dróg żelaznych pod Pisaqua tak znikły ze swemi ciężkiemi zasobami, że śladu, gdzie były, dopatrzeć się nie można. Że ludzie mieszkali w Jilo, nikt się nie domyśli. Miasteczka Cerro-Passo, Huaucavelica, gdzie były — przepadły! niema nikogo, coby zdał jaką taką relacją.

W Chili zdaje się trzęsienie najłagodniej przeszło, ale morze w Jalcahhuano w nocy z 13 na 14 sierpnia, między 10tą a 2gą rzucało się i cofało od brzegów i na brzegi po 200 kroków, każden raz wyrządzając nieporównane szkody; wszystkim okrętom w tym porcie udało się od ostatniej ujść zaguby przez przypadek, który je rzucił w ujście małej rzeczki.

Na wyspach Chincha, sławnych z pokładów guano — nie było wprawdzie trzęsienia ziemi — ale fale często groziły zalaniem całych wysp — a wszystkie przybory, łodzie, czółna w drobne poniszczone sztuki. Dwa angielskie statki i jeden pruski „Leopold II." rozbite zupełnie.

W Equador najgroźniejsze i najszkodliwsze było pierwsze wstrząśnienie dnia 16. o godzinie 1. po północy. W Guaykil ono już 15go dało się uczuć. Do miast, które tu więcej ucierpiały, liczą Ibarra, kędy zginął brat sławnego patrjoty Jorre — San Pablo — Atuntaqui, Imantadad i inne. Gdzie przed miesiącem stało Cotacachi, miasto, dziś sklą się wody jeziora. Najsmutniejszą częścią w cierpieniach Equadoru jest łupież rabusiów, korzystających z ogólnej niedoli i przestrachu — zaje się nawet, że wielu pożarów oni byli sprawcami.

Liczą od 30.000 do 60.000 w ludziach straty przez te trzęsienia, fale i gazy zabójcze. To pewno, że przeszło 300.000 zostało bez dachu, chleba i jakichkolwiek środków. Rozkłady niepogrzebanych ciał grożą chorobami i zarazą. Rządy miejscowe i municypalne ubiegają się z niesieniem pomocy i ratunku, ulgi i rady. Statki angielskie, francuzkie i Zjednoczonych stanów dopływają kędy mogą i dzielą się swemi zapasami z naglej potrzebującymi. Mówią już tu o wysłaniu posiłków w imieniu Zjednoczonych Stanów (w Nowym Jorku kupcy już zawiązali komitet).

Takie katestrofy okropne miały mało pisarzy, coby się nad ich szczegółami i zgrozą rozpisywali. Pliniusz 1800 lat temu graficzny zostawił nam opis, opisując skon starszego Pliniusza — Herschel wystawił ogrom działania i skutki oddziaływania wulkanów i morza, zdaje się jako potrzebę równowagi ziemi, bo wedle jego teorji oceany obecne zalegają lądy dawne — a wieków praca ciągła, niosąca piaski i kurze z lądu do oceanu, muszą jego dno wypełniać, wzajem morskie wody muszą dla siebie mieć dostateczne łożysko — zkąd ciągłe działanie i oddziaływanie — którym wulkany ciągle przybywają z pomocą — zkąd on wywodzi obecność wulkanów zawsze w pobliżu mórz. Dziś Herschela teorją badacze posuwając, mówią o podobieństwie uniknienia złych skutków trzęsienia — do czego im ma przybywać w pomoc p. Palmieri rozumowanie, że trzęsienie ziemi, będąc skutkiem płynów i gazów w wnętrzu ziemi istniejących, wskutek roztopu materji kulę ziemską składającej — a więc jako płynów uległych tym samym prawom lunacji, jak morza i oceany, i że trzęsienia następujące po sobie, tego dowodzą swoją perjodycznością, w ślad księżyca postępującą. Bracia Rogers, uczeni amerykańscy, nie zdają się widzieć jeszcze tak zupełnego stosunku ruchów trzęsienia ziemi z wezbraniem i opadaniem morza (co 50′ codzień później następującem), ale oni wystąpili z tłumaczeniem samego fenomenu, jak się odbywa i jak działa na skorupę twardej ziemi: „Trzęsienia ziemi — mówią oni — są skutkiem pulsacji sprawionej w roztopach (płynach) wnętrza ziemi — w ruch rzuconej — na kształt fal wody. Roztopy te, w ten ruch są popchnięte przez wybuch gromadzących się, przez czas pewny, materji sprężystych, ciągle dążących do wydobycia się z pod ztwardniałej skorupy ziemi, — ztąd trzęsienia są chwiejne i dążące."

Przytoczyliśmy te teorje, wiernie wedle słów autorów, bo przedmiot trzęsienia ziemi zdaje się być wielkiej wagi, nawet dla tych, którym się zdawać może, że mieszkają na ziemi wolnej od podobnej klęski. Ci, co są bliżej stref wystawionych na ten fenomen, ileż to razy — chodząc z niebezpiecznością po ziemi, mogą być w swem zaufaniu zachwiani, gdy usłyszą o podobnych do ostatniej klęskach! I mimowolnie, będzie się mógł człowiek spytać: kędy się podzieje, gdy nowy choas ziemię owładnie?

Korespondencja Redakcji.

France Chateau de Beauregard. — J. Ch. Druk postępuje. Dwa egzemplarze „Nowin" z przesyłką 24 fr. Dziękujemy za pamięć.

Administracja „Kaliny" w Krakowie. „Kalinę" nie otrzymujemy od Lipca. Prosimy o nadesłanie zaległych numerów.

WP. M. Leitgeber w Poznaniu. Oczekujemy odpowiedzi.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.